



№ 386.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 16 lutego 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Józef Supiński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Łyżwiarze (z drzeworytem). — Najnowsze odkrycia wynalazki i spostrzeżenia naukowe. — Charakterystyka lasek (4 drzeworyty). — Przegląd artystyczny. — Rozmaitości. — Szkice z życia warszawskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Wystawa powszechna w Paryżu. — Przegląd piśmienniczy. — Z Tyflisu pod Ararat (dalszy ciąg). — Helena (Powieść). Dalszy ciąg.

Józef Supiński.

W nielicznym gronie uczonych uprawiających u nas nauki społeczne, które w tak krótkim czasie zjednały sobie obywatelstwo w rzędzie umiejętności, znakomite miejsce zajmuje Józef Supiński. W trzech od r. 1855 wydanych z kolei dziełach w tym przedmiocie: *Mysł ogólna fizjologii powszechnej* i *Szkola gospodarstwa społecznego* oddział pierwszy i drugi, rozwinął on system ekonomii politycznej, oparty na podstawie samostannego, oryginalnego poglądu, i przeschepił ją na grunt swojski, zastosowując prawdy umiejętne do potrzeb, okoliczności i stosunków własnego kraju. Zamało są cenione dotychczas dzieła Supińskiego; zamało, względnie do istotnej ich wartości, zwrócono uwagi na nie w świecie naukowym, czytającej zaś publiczności są niemal nieznanne. Kilka krótkich wzmianek w pismach czasowych, kilka recenzji, oto wszystko czego się doczekały. Ta obojętność, ta, rzekłbym, niesprawiedliwość mocno ubodła autora, który lat wiele ciężkiej pracy, w nieustannej walce z materyalnemi trudnościami, poświęcił przedmiotowi swych studyów, nie żądając nagrody materyalnej, ale przynajmniej uznania, jakie się słusznie należy dziełom torującym nowe drogi w dziedzinie umiejętności. Wreszcie stérawszy siły i zdrowie, przy natężonej pracy utracił wzrok, z goryczą odłożył pióro, w bolesnym przekonaniu, że dzieła jego niezaraz jeszcze utorują sobie drogę, że prawdy w nich zawarte nieprędko rozpowszechnią się do tego stopnia, aby na stosunki krajowego gospodarstwa społecznego i dalszy postęp umiejętności wpływ rzeczywisty wyrzucić mogły.

Życie Supińskiego było jednym ciągiem pracy naukowej, połączonej z nieustanną troską o kawałek chleba dla siebie i rodziny. Pozostanie ono wzorem skromnych a wielkich zasług i wytrwałości.

Supińscy pochodzą ze wsi Supy w Łomżyńskiem. Józef Supiński urodził się w lutym r. 1804 w Romanowie pod Lwowem, gdzie ojciec jego był sędzią. Nauki początkowe pobiierał we Lwowie w r. 1814 i 1815, umieszczony w zakładzie wychowawczym Kopińskiego, gdzie nauczycielem jego był Wacław Zaleski, znany pod imieniem Wacława z Oleska, wydawca pieśni ludu, później wysoki urzędnik i gubernator Galicji. Po ukończeniu szkół początkowych, wuj Supińskiego, podówczas jeszcze pułkownik, Mroziński wziął go na wychowanie do

Warszawy, gdzie kończył nauki częścią w liceum, częścią u księży pijarów, a następnie wydział prawn-administracyjny w uniwersytecie warszawskim, gdzie otrzymał stopień magistra. Niezwłocznie potem wszedł jako aplikant do Komisji spraw wewnętrznych, gdzie później pełnił obowiązek sekretarza sekcji.

W dwudziestym ósmym roku życia swego Supiński przeniósł się do Francji i zamieszkał w Lugdunie.

tecznie usposobionym, przyjął obowiązek buchaltera w jednej z fabryk tamtejszych. Odtąd położenie Supińskiego polepszyło się znacznie. Wkrótce przeniósł się do jednego z piérwszych domów amerykańskich w Lugdunie. Ztamąd we dwa lata później przeszedł do rządowej kasy departamentowej, gdzie był naczelnikiem oddziału rachunkowego (chef de comptabilité). Z końcem roku 1836 przeniósł się do Paryża, gdzie pewien obywatel lugduński wyrobił mu znacznie korzystniejszą posadę w jednej z głównych fabryk wyrobów wełnianych, której był dyrektorem przez trzy ostatnie lata pobytu swego we Francji, mianowicie po rok 1844. Lubo Supiński nie sposobił się początkowo do zawodów technicznych, jednakże silną wolą, przy wrodzonych zdolnościach, tyle dokazał, iż w bardzo krótkim czasie przyswoił sobie potrzebne wiadomości handlowe, tudzież chemią i mechanikę. Obdarzony duchem porządku i darem administracyjnym, pozaprowadził w powierzonym kierownictwie jego fabryce takie ulepszenia, że zwiędzający ją ministrowie, a nawet następca tronu książę orleański, oddali mu zasłużone pochwały. Stawiał on w niej nawet maszyny własnego pomysłu, które się bardzo pożytecznymi okazały.

Zatrudnienie ówczesne Supińskiego było najbardziej męczącym, albowiem fabryka dniem i nocą była w ruchu; ale też położenie jego pod względem materyalnym było najlepsze. Wszelako wzrastająca chęć powrócenia do rodzinnej zagrody, zniewoliła Supińskiego do porzucenia korzystnej posady i do powrotu do Galicji w r. 1844, skoro tylko potrzebny ku temu uzbierał sobie zasób na drogę. Spółka właścicieli fabryki którą zawiadywał, uwalniając go z załem od dalszych czynności, dołączyła w napisanym doń pożegnalnym liście te słowa: „Gdyby pana los zagnął powtórnie do opuszczenia rodzinnego domu, przybądź wprost do nas. Jeżeli nie będzie posady opróżnionej, utworzymy ją umyślnie, aby cię mieć znowu u siebie.”

Powróciwszy Supiński w r. 1844 do Galicji, udał się wprost do księcia Leona Sapiechy, prezesa Towarzystwa kredytowego i gospodarskiego. Umieścił on Supińskiego, najprzód jako prezesa dziennego w Towarzystwie kredytowym, a zajmując się właśnie założeniem kasy oszczędności we Lwowie, poznawszy wysokie zdolności Supińskiego, porucił mu zaprowadzenie całej rachunkowości w nowoutworzonym zakładzie. Wzorowy porządek ksiąg rachunkowych tego zakładu, jest dziełem Supińskie-



JÓZEF SUPIŃSKI (podług fotografii nadesłanej).

W mieście tém, wyłącznie przemysłowem, Supińskiemu, nieusposobionemu do zawodu technicznego, trudno było o utrzymanie. Przyjęto go jako pisarza do biura Towarzystwa ogniowego, gdzie pobiierał miesięcznie 25 franków, pracując od ósmej rano do siódmej wieczorem, z jednogodzinną przerwą w południe.

Cheąc polepszyć swe położenie, postanowił Supiński wyuczyć się rachunkowości kupieckiej. Pracował nad nią po nocach, a czując się już dosta-

go. W kasie oszczędności otrzymał Supiński stałą posadę, na której przez lat dwadzieścia pozostawał, i dopiero zmuszony był ją opuścić w r. 1864, skutkiem nagle niktącego wzroku. Spędziwszy lat dwadzieścia w usługach tego zakładu, otrzymał połowę pensji emerytalnej w kwocie rocznej 2400 złp., dziękując Bogu że ślepotą nie dotknęła go o parę lat wcześniej, bo w takim razie byłby i tej szczupłej nie otrzymał emerytury, niewystarczającej na utrzymanie domu i na wydatki na kuracyę.

W pierwszych chwilach była nadzieja uratowania, wzroku, lecz żaden z lekarzy lwowskich nie ośmielił się podjąć operacji jaskry (glaucoma). Dyrekcyj kasy oszczędności ofiarowała mu z funduszów zakładu zasilek na podróż do Berlina, do sławnego okulisty Graefego, celem dokonania operacji. Odbyla się ona szczęśliwie, według zapewnień dra Graefego, który zaręczał że odzyskana siła wzroku ciągle wzmagać się będzie. Wszelako nadzieja ta zawiodła. Od powrotu Supińskiego z Berlina wzrok jego ciągle słabnie. Dziś już nie różni się największego nawet pisma, nie dostrzega rysów twarzy i bez przewodnika wychodzić nie może. Operacja zapóźno została przedsięwzięta, wcześniej zaś, dla braku funduszy, przedsięwzięć jej nie mógł. Z podróży tej przywiózł Supiński miłe wspomnienie przyjęcia jakiego doznał w przejeździe przez Poznań, gdzie wszystkie naukowe znakomitości zgromadziły się w domu dra Mateckiego, dla uczczenia gościa. Pozbawionemu nadziei odzyskania wzroku, pozostaje Supińskiemu jedyna pociecha w tém przekonaniu, iż go stracił nie bez znakomitej dla nauki korzyści.

Nawyki do mozolnej i nieustannej pracy, straciwszy wzrok, ujrzał się Supiński w smutnej konieczności próżnowania. Nie będąc w stanie opłacać lektora, zamknął się w pomieszkaniu swoim, z którego nigdy nie wychodzi, zajmuje się rozmaitemi zatrudnieniami mechanicznymi. Wzrok utracony i to przymusowe próżnowanie spowodowało inne znów cierpienia nerwowe, które przykrzejsze od ślepoty, w połączeniu z rozmaitemi jeszcze niepowodzeniami, odjęły mu zupełnie chęć do dalszych prac naukowych.

Supiński od lat najmłodszych był usposobienia poważnego; samotność i rozmyślanie przenosił nad gwałtne zabawy towarzyskie. Będąc jeszcze w szkołach, najbardziej lubił matematykę i poezję. Gdy był w trzeciej klasie, profesor zadał uczniom do wypracowania opis natury. Wówczas napisał Supiński pierwszy raz wiersz do wiosny, a gdy go oddał profesorowi, ten, nie dając wiary aby to był rzeczywiście utwór Supińskiego, wpisał mu złą notę za oszustwo, i dopiero na zaręczenie profesora u którego Supiński mieszkał, uwierzył że to on a nie kto inny napisał. Odtąd Supiński pisywał wiersze, a między innymi napisał obszerniejszy poemat *Karpaty*, którego rozbiórowi Brodziński cały jeden swój wykład poświęcił, co świadczy że wiersz ten nie musiał być bez zalet. Napisał także parę tragedj, jak *Morsztyn*, *Regulus*, *Arcez*, *Tatarzy* i. t. d. (1) które pozostały w rękopiśmie w Warszawie i prawdopodobnie zginęły. Zaprzestał pisać wiersze, skutkiem wrażenia jakie na nim wywarł wykład ekonomii politycznej Fryderyka Skarbka w uniwersytecie warszawskim. Ekonomia polityczna i nauki administracyjne stały się odtąd ulubionym studjów jego przedmiotem. Z bólem zaniechał ich musiał podczas pobytu swego we Francji, z powodu konieczności zarabiania na utrzymanie. Z największym ubolewaniem mówi zawsze Supiński o tej kilkoletniej przerwie, którą później tém gorliwszą pracą wypełnić usiłował. Praca ta tém była uciążliwszą, że cały dzień zajęty w urzędzie, nocą tylko mógł się oddawać przedmiotom naukowym. Przez to nadwątlili przedwcześnie zdrowie i wzrok utracił. Do zniechęcenia go do dalszego pisania przyczyniło się głównie to, iż nie mógł znaleźć przez wiele lat nakłady na ekonomiczne dzieła swoje, pomimo że je ofiarował darmo. Przyczynił się następnie do tego i nader mały pokup dzieł już wydanych, okazujący obojętność publiczności na te przedmioty, które Supińskiego głównym były zadaniem i w których wi-

dział jedyny środek wzrostu dobrobytu i pomyślności materialnej kraju. Dotąd nie rozeszło się pełna 500 egzemplarzy wszystkich dzieł Supińskiego. Gorzej atoli jeszcze niż ta obojętność publiczności zabrała autora, gdy mu pokazano w dziełach ekonomistów francuzkich i niemieckich przedrukowane nietylko pojedyncze myśli, będące podwaliną systemu, ale całe nawet ustępy dosłownie z jego dzieł wyjęte i bez wymienienia źródła za własne przez rzeczonych autorów podane. Tak ujrzał się Supiński w najboleśniejszy sposób odarty z własności swęj umysłowej, ze zdobyczy będącej owocem wieloletniej pracy i rozmyślań, a strata takowa więcej go dotknęła, niż inne jakiegokolwiek straty materialne. To zniechęciło go do reszty.

Dzieła Supińskiego, jak wspominałem wyżej, oprócz pochwalnych wzmianek, mniej więcej wyczerpujących, w ogóle jednak bardzo chlubnych dla autora, nie doczekały się dotąd gruntownego ocenienia i krytyki szczegółowej. Nie może też być i naszym zadaniem wchodzić w szczegółowy rozbiór dzieł pomienionych. Postaramy się wszakże dać ogólny zarys jego systemu i wskazać samoistne jego w umiejętności stanowisko.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Wiadomo że Krasicki, jako najzmienniejsze z rzeczy ludzkich, głosił: łaskę pańską, gust kobiet i pogody jesienne; nam się jednak zdaje że do tego wyliczenia możnaby dodać usposobienie publiczności warszawskiej do wykładów publicznych. I rzeczywiście, zamiłowanie w tych wykładach, w zeszłym jeszcze roku objawiające się w dość żywy sposób, w bieżącym ochłodziło znacznie, a to pomimo wyboru do prelekcji publicznych przedmiotów zajmujących, które powinnyby zwrócić na siebie uwagę publiczną.

Zdawałoby się naprzykład, że odczyt profesora Węclewskiego O zabobonach i gusłach u Greków i Rzymian, powinienby licznych zwabić słuchaczy. Kwestye tego rodzaju miały zawsze przywilej rozbudzania ciekawości ogólnej, a ten zwrot umysłów ku wszystkiemu, co przybiera na siebie zamglone kształty nadnaturalnych zjawisk, dawał się bezprzeznacznie spostrzegać w szeregach wieków po sobie następujących. I pomimo potężnych ciosów jakie encyklopedyści z Wolterem na czele starali się zadać w XVIII wieku wszelkiej wierze w nadprzyrodzone zjawiska, pociąg ten do rzeczy niedających się rozumem ani wiedzą ludzką w pewne ująć formuły, przetrwał aż do naszych czasów. Pomijając mnóstwo następujących się przykładów, wspomniemy tylko o wrażeniu jakie przed dziesiętkiem lat stoliki wirujące sprawiły w całej Europie. Dziś jeszcze stoliki te u nas nawet mnóstwo liczą zwolenników, literatura spirytyczna w ostatnich czasach rozszerzyła się znacznie i na setki, na tysiące liczy można publikacje wydawane we Francji i w Niemczech w tym przedmiocie.

Jakkolwiek Wschód jest głównym źródłem i kolebką wyobrażeń i nauk mistycznych, zabobony i gusła (tak je zwie prof. Węclewski) tak pod względem religijnym jak i społecznym były w Grecji i Rzymie szeroko rozprzestrzenione. Samo wyliczenie rozmaitych gałęzi wieszczbiarstwa zabrałoby niemało miejsca.

I któżby uwierzył, że nigdy prawie armia rzymska nie ruszyła się w pochód, żeby za nią nie szedł pontifex, a z nim kilku augurów oraz pullarius, z klatką kurcząt pełną.

Jeżeli kurczęta zajałaby z apetytem ziarna sobie posypane, była to dobra wróżba zwycięstwa, jeżeli zaś niechętnie przystępowały do jedzenia, można się było na pewno przegranej spodziewać.

I niebezpiecznym było nawet dla najznakomitszych wodzów, iść wbrew temu tak silnie wpojone mu w ogół przekonaniu.

Claudius Pulcher, wódz rzymski, w przeddzień walnej bitwy z Kartagińczykami, nakazał pullariusowi wyciągnąć ów kurczęcy horoskop.

I biada! kurczęta jeść nie chciały.

Okropna rozpacz zapanowała w obozie, a na wszystkich twarzach malowała się śmiertelna obawa.

Ale Claudius rzekł:

— Rzucić kurczęta w morze, bo jeżeli jeść nie chcą, to chyba dlatego, że im pragnienie dokucza.

Wykonano rozkaz, ale nazajutrz armia rzymska, znacznie słabsza liczebnie od nieprzyjacielskiej, doznała krwawej porażki, i Claudius Pulcher w obec rozszalonego na siebie żołnierstwa o mało życiem nie przypłacił niezastosowania się do woli bogów, brakiem apetytu kurcząt objawionej.

Przytaczamy tylko ten jeden przykład z tysiąca następujących nam się pod pióro; a właściwe wróżbiarstwo stanowi zaledwie drobną cząsteczkę obszernego przedmiotu jaki szanowny prelegent umyślił w dwóch godzinach odczytu wyłożyć wszechstronnie słuchaczom. I dokonał tego dokładnie i sumiennie, ale sama obfitość i różnorodność materiałów w skład odczytów wchodzących, oraz cytacje jakie profesor uważał za stosowne przytaczać na poparcie zdań przez siebie objawianych, wpłynęły może na znużenie uwagi słuchaczy, przed którymi się tak nagle otwierał cały świat nowych a obcych im prawie wiadomości.

I ośmielamy się wątpić, czy wychodzący z prelekcji zdołali wiele zapamiętać z tych dziejów zabobonu i guślarstwa starożytnego, tak wymownie przez uczonego profesora skreślonych.

Tutaj mimowolnie nastęcza się nam uwaga co do tych odczytów, które we wszystkich dobro ogólnie mających na sercu powinnyby współczucie i i zajęcie budzić.

Mają one cel podwójny.

1o przyjdzie w pomoc niezamożnym studentom Szkoły Głównej; 2o przyczynienie się do publicznego wykształcenia, a to przez wybór stosownych i zajmujących przedmiotów, oraz popularny wykład, trafiający do pojęcia większości słuchaczy.

Żeby pierwszy cel osiągnąć, trzeba koniecznie drugiemu uczynić zadość, wzbudzając w publiczności uczęszczającej na odczyty zamiłowanie do tak łatwo pozyskać się dających wiadomości i ochotę do ciągłego z nich korzystania. Zamiar ten da się tylko skutecznie za pomocą wielkiej popularności wykładu.

Utrzymywanie przedmiotów jakie sobie prelegenci do odczytów swoich obierają, na wysokości czysto tylko naukowych pojęć, czyni je dla wielu niedostępnymi. Trzeba pamiętać że przemawia się do ludzi nieprzywykłych jeszcze do wykładów z katedry i że do tego poważnego słowa trzeba ich dopiero powoli przyzwyczajać, ażeby je zrozumieć mogli w całej doniosłości. Krótko mówiąc, trzeba wykład ubarwić i uprzyjemnić, pozabawiając go odstraszającej wielu ścisłości uczonych rozpraw. Publiczność która zgromadza się do sali, zaufana w nauce prelegenta, wierzy mu na słowo, nie potrzebuje on więc ani przytaczać źródeł z których badania swoje czerpie, ani popierać zdania wyrażonego uznaniami w świecie naukowym powagami, ani używać wyrażen i cytacyj dla wielu nieprzystępnych. Uwagę jaką tu czynimy, poczerpaliliśmy z doświadczenia, jakiego każdy oddawna piszący, nabiera w stosunkach z czytającymi, a słuchacz odczytów publicznych niewiele się od tych ostatnich różni w usposobieniu w jakim na te odczyty przychodzi. Żeby uczyć ogół, trzeba wpiérw umieć przywabić go do siebie i naukę pojętną dlań uczynić. W przeciwnym zaś razie, zyskując na powadze i ścisłości nauki, traci się na doniosłości wpływu jaki ona wyrzucić może.

* * *

Drugą, także ważną, wiadomość czerpiemy z Gazyety Warszawskiej o mającym tu się założyć letnim teatrze. Myśl ta niezależna jest zupełnie od zamiaru założenia trzeciego teatru, podobno ludowego na wielkie rozmiary, który dawno już obiecywany, czeka dotąd na urzeczywistnienie. Zapowiedziany przez Gazetę Warszawską szereg letnich widowisk, będzie raczej teatrem *in partibus*, mającym nam z korzyścią zastąpić kosztowne sprowadzanie francuzkich i niemieckich śpiewaków i śpiewaczek, dla uprzyjemnienia Warszawianom wiecach ogródkowych. Prowincjonalne towarzystwa dramatyczne mogą łatwo dostarczyć stosownego kontyngensu, a nie zbraknie na wesołych i lekkich sztuczkach, tak tłumaczonych z obcych języków, jak nawet i oryginalnie na miejscowym tle napisanych, jeżeli zwłaszcza

(1) Arcez grany był w teatrze warszawskim jeszcze przed kilkudziesięciu laty. Rozbiór tego dramatu, oraz Tatarów, znajdują czytelnicy w dzisiejszym Przeglądzie piśmienniczym.

przedsiębiorcy zapewnią autorom stosowne korzyści. Wybór miejsca (jak słyszeliśmy w dotychczasowym Eldorado na ulicy Długiej) bardzo jest korzystny dla przedstawień tego rodzaju, które w żadnym wypadku nie mogą przynieść ujemny dotychczasowym teatrom warszawskim, ale owszem umiejętnie obmyślane i wykonane, podbudzą jeszcze gust do widowisk scenicznych. W każdym razie umiejętny dobór sztuk do odegrania przeznaczonych głównym jest tu warunkiem powodzenia; trzeba bowiem pamiętać, żeby oprócz zabawy, był i pożytek dla widzów, a głównie żeby ważny wzgląd przyzwoitości publicznej nie został pominięty. Bo nieraz się zdarzało, że co uchodzi zagranicznym, w miejscowych razi. Uważamy to nawet za bardzo zbawienny, chociaż instynktowy objaw opinii publicznej. A zresztą, powtarzamy, jest w czem wybierać i pewno na zabawnych, chociaż przyzwoitych sztuczkiach nie zbraknie. Nie posuwamy zresztą puryzmu naszego do ostatnich granic, chcemy tylko zwrócić uwagę przedsiębiorców, że dla własnej ich korzyści i dla zyskania sobie liczniejszych i doborowszych zebrań, co zawsze im na dobre wypadnie, powinni pójść za radą przez nas udzieloną, zawsze w przypuszczeniu że zamiar ziszczonym zostanie.

Kuryer Warszawski przeszedł obecnie pod redakcją zasłużonego komedyopisarza i artysty dramatycznego, Stanisława Bogusławskiego, który od założenia prawie tego pisma pracując przy nim, złał się niejako z jego istnieniem. Nazwisko Bogusławskiego znane jest dobrze tym, którym tradycje kuryerowe leżą na sercu, a wiadomo że w Warszawie pismo to nigdy na brak współczucia skarżyć się nie mogło. Zresztą miasto nasze mieści w sobie obecnie dwa razy większą liczbę mieszkańców aniżeli za czasów założyciela Kuryera, L. A. Dmuszewskiego, starczy więc z lichwą na utrzymanie dwóch brukowych organów miejskich, które dla wielu Warszawian niezbędne prawie się stały; dlatego tak Kuryer Warszawski jak i Codzienny mogą bezpiecznie obok siebie istnieć, nie szkodząc sobie wzajemnie, a współpracując tylko w gorliwym zbieraniu najświetszych brukowych wiadomości.

Owóż powtarzamy jedną z tych wiadomości, którą wyczytaliśmy w 46-m numerze Kuryera Warszawskiego, a mianowicie że pisarz i artysta dramatyczny, p. Jan Chęciński, pracuje obecnie nad treścią historią widowisk scenicznych, którą w początkach postu zamierza wyłożyć w formie odczytów. Sprawozdawca twierdzi, że widział już przygotowane materiały do tej pracy. Radzibyśmy wiedzieć, czy to będzie historia widowisk dramatycznych w ogóle wziętych, czy też tylko w kraju naszym. Tak jedno jak i drugie zadanie nastęrcza wiele trudności; wolelibyśmy jednak w każdym razie, żeby pan Chęciński zwrócił się ku drugiej części tego obszernego przedmiotu, nas głównie dotyczącej. Do opracowania przystępnie opowiedzianych dzieł sztuki dramatycznej w Polsce, znajdują się stosowne źródła, a nie wahamy się wierzyć, że pan Chęciński, jako sumienny pracownik i utalentowany mówca, godnie odpowie zadaniu. Tylko przedmiot ze wszech stron dobrze wystudyowany można jasno i z pożytkiem wyłożyć. Któż więc lepiej od artysty pracującego już długo i zaszczytnie w tym zawodzie potrafi zadowolić słuszne wymagania? Czekamy z niecierpliwością na zapowiadany wykład, zawsze jednak z zastrzeżeniem:

Si fabula vera.

Poszyt pierwszy zapowiadanego Self-help (pomoc własna Samuela Smilesa), wyszedł już z druku i zapowiedziane jest regularne wychodzenie dalszych poszytów w terminie oznaczonym. W każdym razie jest to bardzo ważna i użyteczna publikacja, zasługująca na ogólne poparcie. Radzibyśmy zwłaszcza ażeby dzieło to znalazło wielu czytelników pomiędzy klasą pracującą, będzie ono bowiem dla niej i pociechą, i zachętą do dalszej pracy. Widocznie pojęcia nasze pod tym względem podzielają nakładcy, którzy, o ile wiemy, własną pracą dorobili się zaszczytnego w przemyśle miejscowym stanowiska i przekonani są o ważnym wpływie, jaki umiejętnie użyte środki wykształcenia na zachętę do pracy wyrzucić mogą.

W tych dniach zdarzył się dość oryginalny wypadek.

Pewna pani, w dzień świąteczny udając się do kościoła, poczuła że jej wyjmują delikatnie z pod ręki parasol. Obejrzała się, zanim jednak zdołała oprzeć się napaści, albo nawet zawołać o pomoc, już nieprawy nabywca parasola był daleko, przeprowadzając się zresztą przez wyjątkowo w tym dniu nagromadzone błoto uliczne, które kobiecie pogon trudniło.

Nie było rady; poszkodowana więc, westchnawszy nad swoją stratą, udała się do świątyni Pańskiej, jak to pierwotnie było jej zamiarem. Z niewypowiedzianym jednak zdziwieniem ujrzała u wejścia porządnie ubranego jegomościa, z jej własnym parasolem w ręku.

Nie namyślając się więc długo, zawołała:

— Oddaj pan ten parasol, bo on do mnie należy.

Porządnie ubrany jegomość uśmiechnął się na to, i nie czyniąc żadnych trudności, oddał parasol poszkodowanej, a sam ukłoniwszy się, znikł w tłumie.

Przegląd polityki zagranicznej.

15 lutego.

Depesze prywatne z Florencji donoszą, że gabinet Ricasoli podał się do dymisji. Jakkolwiek wiadomość ta nie jest dotąd urzędowo potwierdzoną, nie jest wszakże bezzasadną, gabinet bowiem poniósł dwie ciężkie porażki w izbie i nic innego mu nie pozostaje, jak oddanie steru władzy w inne, umiejętniejsze lub zresztą rękę. Przyczyną główną upadku p. Ricasoli jest projekt do prawa o wolności kościoła. Izba odrzuciła projekt, z uwagi że jeżeli hr. Cavour obstawał za wolnością kościoła, czynił to jedynie pod warunkiem, że władza świecka Rzymu zniesioną zostanie, projekt zaś obecny władzę tę utwierdza, nie dając Włochom za dnęj pewnej w zamian rękami. Jednocześnie opozycja dopytywała się, dlaczego rząd zabronił meetingu dotyczącego sprzedaży dóbr kościelnych. Ministerium odpowiedziało, że prawo o zgromadzeniach nie jest dotąd zatwierdzone i że nado w kilku miastach zaszły ruchy, wywołane drożyzną. Odpowiedź ta zrodziła żywą dyskusję, przyczem deputowany Mancini taki zrobił wniosek: Izba przechodzi do porządku dziennego, w nadziei, że gabinet nie będzie stawiał przeszkód wykonaniu praw zawarowanych ustawą, dopóki wykonanie to nie zagraża bezpieczeństwu publicznemu. Po żywej rozprawie, izba przyjęła ten wniosek większością 136 przeciw 104 głosom. Po tej porażce, Ricasoli wraz z kolegami zażądali uwolnienia. Król bawiący w S. Rovere na polowaniu, powrócił natychmiast do stolicy i zwołał radę ministeryalną, celem naradzenia się nad potrzebą rozwiązania parlamentu. Dotąd niewiadomo co król postanowi.

Uwolnienie p. Belcredi od obowiązków ministra stanu, wywołało taki zamęt w sferach dziennikarskich, iż nawet pogodzenie się korony z Węgrami zaczyna być rzeczą niepewną. Dzienniki centralistyczne otwarcie wyrażają swoją w tym względzie wątpliwość. Zwołanie ścieśnionej rady państwa zadowolić może centralistów, lecz co począć z krajami niewęgierskimi? oto pytanie na które p. Beust dotąd odpowiedzieć nie zdołał. Depesze wspomniały o powołaniu do Wiednia hr. Gołuchowskiego, hr. Rothkirch i hr. Auersperg, celem ułożenia liberalnej ustawy dla krajów z tej strony Litawy leżących; wątpić wszakże można aby porozumienie się nastąpić mogło, pogodzenie bowiem tylu różnorodnych żywiołów jest nader ciężkim i mozolnym zadaniem. Jeżeli kraje słowiańskie nie zechcą wysłać swych posłów do rady ścieśnionej, to powtórzy się próba szmerlingowska, która w razie najmniejszego nieporozumienia z Węgrami odebrać może tej radzie wszelką powagę i znaczenie. W obec takiego chaosu panującego w sprawach austriackich, tém jaskrawiej odbija pomysłny stan interesów Prus, dążących z wolna lecz wytrwale ku urzeczywistnieniu idei zjednoczenia Niemiec pod własną hegemonią. Prezes izby poselskiej, Forckenbeck, w mowie zamknięcia, mianem w dniu 8 b. m., wyraźnie zaznaczył tę myśl, wspomniawszy o zgodzie króla i dwóch izb, jako o rękami silnej woli

ludu pruskiego. Jeszcze dobitniej wyraził się sam król w mowie tronowej, wygłoszonej przy zamknięciu posiedzeń obu izb, oświadczył bowiem iż nie traci nadziei że zgoda i jedność panować będą między ludami i książętami Niemiec.

Wybory do parlamentu północnego odbyły się w d. 12 b. m. Między kandydatami sześciu okręgów berlińskich czytamy nazwiska: hr. Bismark i generałów: Moltke, Vogel von Falckenstein, Herwarth i Steinmetz.

Dzienniki tureckie zapowiedziały przed kilku dniami, że Porta sama się podejmuje rozwiązania kwestyi wschodniej, przez zaprowadzenie u siebie konstytucji, ustępstwa dla Serbów i Kandyotów i przez emancypację chrześcian. Wszystko to, gdyby nawet rzeczywiście sprawdzić się dało, przychodzi zapóźno i nie zdoła uspić rozbudzonej sprawy. Grecy stanowczo domagają się Epiru i Tessalii, wraz z wyspami Archipelagu; Egipt jest w przededniu oderwania się, Serbia i Czarnogóra co najmniej chcą być równymi Rumunom, a Bośnia i Bułgaria nie pozostaną w tyle. O ile więc Porta zdoła zadowolić te wszystkie plemiona swemi połowicznymi ustępstwami, nie trudno odgadnąć. Zdaje się że nawet gabinet francuzki przechylił się na stronę chrześcian, a korespondencje francuzkie zapewniają, że cesarz Napoleon w mowie tronowej zapowie ten zwrot swęj polityki na Wschodzie. W tymże duchu działać ma i Austria, zdaje się więc że mocarstwa te, w połączeniu z Rosyją, Anglią i Prusami, przeprowadzą nareszcie radykalne rozwiązanie kwestyi wschodniej. Z Aten donoszą, że walka na Kandy nie ustaje i że Turcy powołała do Konstantynopola zgromadzenie kandyockie, ale Grecy odrzucili to żądanie i nie chcą wysłać swych pełnomocników.

W dniu 5 b. m. królowa Wiktorya otworzyła posiedzenie parlamentu, zagaiwszy je osobiście przemową tronową. Dzienniki zagraniczne utrzymują, że nigdy jeszcze mowa tronowa angielska nie była tak bezbarwną jak w roku obecnym, co jest rzeczywistą prawdą, jeżeli za miarę oceny służyć ma brak stanowczości w powziętym planie postępowania. Zapominać wszakże nie należy, że gabinet Derby znajduje się w wyjątkowym położeniu i że objął ster państwa w nader trudnych okolicznościach. Z jednej bowiem strony polityka zagraniczna gabinetu natrafiła na tak potężne dwie kwestye, jak niemiecka i wschodnia, z drugiej wewnętrzne sprawy, a mianowicie agitacje stronnictwa reformistów, doprowadzić mogą do starć parlamentarnych i zakończyć się albo upadkiem gabinetu, albo rozwiązaniem parlamentu.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincji lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcji materiału do kroniki tygodniowej. Materiałom tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. d. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zarezerwowaniem za jego wiarygodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcyi.

Braciom B. i F. w Warszawie. O teorii gry szachowej niepodobna dać w kilku słowach wyobrażenia. Zalecamy panom w tej mierze dziełko ś. p. Krupskiego p. t. „Strategika szachowa.”

Panu K. w Lidzie. Zdanie pańskie o uchybieniach powieściopisarzy, chociaż uzasadnione i znaczne, wydaje nam się zbyt surowym. W prądzie żywego opowiadania pojedynczych wyrażań i zwrotów na wagę złota brać niepodobna. Spójrzmy tylko na tegoczesne powieściarstwo francuzkie, a porównanie pewno na korzyść naszej wypadnie.

ŁYZWIARZE.

W zabawach przebija się charakter społeczeństwa, wybitnie je swemi znaczącymi cechami.

I jakkolwiek ułatwione w naszym wieku stosunki cywilizacyjne zrównały niejako pod względem zajęć i zabaw wszystkie narody, zawsze jednak nietrudno odróżnić co któremu jest właściwe.

Zbytłowne lordowskie sanki, pojawiające się na ulicach Londynu, ściągają na siebie uwagę licznych przechodniów, bo są już niejako wyjątkowym wypadkiem, przerywającym zwykłą jednostajność miejską, a sztucznie zamrożona sadzawka w Paryżu, służąc za pole popisu wykwintnych łyżwiarzów i łyżwiarek, ma w sobie coś z przedstawień teatralnych, bo tak biorący udział w tej zabawie, jak i przypatrujący się jej, czują dobrze iż ona z krwi narodu nie wypłynęła.

W krajach więc trochę na północ posuniętych, a więc i u nas także, zabawa łyżwowa stanowiła zawsze jedno z najmiłszych zajęć. I nie dziwić się temu.

pedu z wytrawnym i doświadczonym łyżwiarzem nie mógłby iść o lepsze, i gdyby można przy kolei żelaznej urządzić na kilka wiorst ślizgawkę, to może i lokomotywa cofnęłaby się zawstydzona z tych wyścigów. Bo tu krok jeden, to parę sążni odrazu; zdawałoby się że wraz z przywdzianiem tych żelaznych trzewików, wyrastają skrzydła u ramion temu śmia-temu żeglarzowi po lodowej fali.

Rozповідаją o pewnym węgierskim łyżwiarzu, który opuściwszy Wiedeń, we dwie godziny już po odejściu z tego miasta do Pesztu sztafety donoszącej o wielkiej wygranej na loteryi liczbowej, po Dunaju lodem przybył jeszcze wczas do stolicy Węgier, dla postawienia w kantorze tamecznym wygrywającego numeru, i temu wybiegowi, popartemu umiejętną jazdą na łyżwach, winien był fortunę.

Warszawa posiada kilku znakomitych łyżwiarzy, którzy każdego roku na obszernym stawie Łazienkowskim znajdują stosowne do popisu pole. Są to wodzowie szeregu, a pod ich niejako przewodem i za-

rzyłyby się z tego nieraz najwdzięczniejsze fantazyje rysunkowe.

Drzeworyt który tu podajemy, może dać wyobrażenie o tej zabawie tym, którzy jej widzieć nie mieli sposobności. Sądźmy jednak iż takich u nas znajdzie się bardzo niewiele.

Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

Koral. — Piorunociągi telegraficzne Bertsch'a. — Magiczne pudelko Gaiffe'a. — Stosy termo-elektryczne Bunsena i Becquerela. — Przyrządy Ansella do wykrycia obecności wodoru węglowego w kopalniach i sposób zabezpieczający od wybuchów gazu Alfonsa Gairand'a. — Nowy system oświetlenia Alfonsa Mille'a. — Doświadczenia z nawozami chemicznymi Ville'a. — Doświadczenia szczególne Richardsons. — Ambulatoryum lecznicze galvano-elektryczne dra Mikołaja Brunera.

Do ważniejszych publikacyj naukowych należy



ŁYZWIARZE NA STAWIE ŁAZIENKOWSKIM. (Rysował z natury Gierymski).

W południowych okolicach Europy lód w zimie jest wyjątkiem, u nas zasadą, chociaż od kilku lat zasada ta zachwiała się trochę w niewzruszoności swojej. Szukamy rozrywki, a czyż może być miłsza nad zabawę łyżwową? Prawimy o korzyściach gimnastyki, a jakież sztuczne ćwiczenia mogą dorównać tej jeździe przyspieszonej, nadającej ruch całemu ciału, wyrabiającej w nas zręczność, zwinność i siłę męską, a stokroć pożyteczniejszej dla zdrowia, aniżeli wszystkie tańce w zacieśnionej i dusznej atmosferze salonowej.

Przed nami równa i błyszcząca przestrzeń, nad nami niebo mrozem wyiskrzzone, a nie lękamy się zimna, bo broni nas przeciwko niemu przyspieszony ruch i siła wyteżenie, daleko więcej rozgrzewające, aniżeli wszystkie piece i kaloryfery. A jakże tu uwadnia się gibkość i siła, ten wdzięk młodości! jakże łyżwiarz dumnym może być nieraz z wrażenia sprawionego śmiałością jego ruchów, pewnością siebie i zręcznością w omijaniu przeszkód przypadkowych! Najdzielniejszy koń wyścigowy w szybkości

ich przykładem, zwłaszcza w dni świąteczne, występuje na plac łyżwowych ćwiczeń cała armia obojczy płci szermierzów, współzawodniczących z sobą na tym prawdziwie ślizkim polu.

Piękny jest widok tych różnych grup, mieszających się z sobą i mijających co chwila, a uniesionych wirem, który najobojętniejszych nawet pociąga za sobą. Krew szybciej krąży w żyłach, serce zwawiej bije, jakieś niezwykle zadowolenie maluje się na wszystkich twarzach, jakby się oddychało życiem w całej pełni; bo tak się dzieje zawsze, kiedy człowiek walczy z naturą i zwycięża ją, a jazda na łyżwach, to urąganie mrozowi, który w lód wodę ściągnąć potrafi, a nie zdoła dokuczyć człowiekowi, korzystającemu tylko z naturalnych środków jakie ma pod ręką, albo raczej pod nogą. Kobiety współzawodniczą tutaj z mężczyznami w zręczności i nieraz ich zwyciężają. Wytrawny łyżwiarz najdokładniej do jednego cała prawie potrafi oznaczyć linie które przebiegnie, a gdyby droga jaką przebywa po lodzie mogła po sobie zostawić widoczniejsze ślady, utwo-

bez wątpienia *Historia naturalna koralu*, której autor p. Lacaze-Duthiers, opierając się na ścisłych kilkuletnich doświadczeniach, wykrył tajemnicę powstawania tych szczególnych polipów i obraz ich życia dotąd nieznanego odsłonił. Jakiej nauki, pracy i cierpliwości wymagały podobne studia, nie potrzebujemy dowodzić; rozwiązanie kwestyi, o którą rozbiły się od półtora wieku usiłowania jego poprzedników, najlepiej o zasłudze uczonego badacza przekonywa. Winniśmy wreszcie nadmienić, że według systemu podanego przez p. Lacaze-Duthiers, rząd francuzki polecił urządzić połów koralu na wodach algierskich. Tak więc nietylko nauka, ale handel i przemysł z pracy autora skorzystają.

Przepyszna barwa koralowych gałązek i różnorodność nieporównana ich kształtów, budziły oddawna zachwyt równie poetów, jak uczonych. Starożytni uważali je za twory roślinne, Ferrante Imperato w r. 1690, Tournefort w r. 1700, przyjmowali ten pogląd, któremu zapewnienia Marsigli'ego w r. 1706 o istnieniu kwiatów koralu, nadały pewną wagę. Nie

wszyscy jednak naturaliści podzielali te opinie; Réaumur z uporczywością przypisywał koralowi podwójną naturę, wyróżniając w nim masę kamienną polipnika stanowiącą koral handlowy i roślinną powłokę korową; pierwsza według niego była skamieniałością wytworzoną przez zwierzęta, druga skamieniałością wydaną przez rośliny. Hypoteza Réaumura, równie jak dowodzenia Marsigli'ego, nie wytrzymały krytyki; koral śledzić należało nie w gabinetach okazów natury, ale w żywiole jego macierzystym, węgleń wód. Myśl tę powziął pierwszy Peyssonnel, uczeń Marsigli'ego, lekarz z Marsylii, znany z poświęcenia jakie okazał w czasie grasującej zarazy w tymże mieście w 1720 r. Wysłany przez rząd w celu poszukiwań naukowych do Barbaryi, nie zaniedbał on, dociągając do brzegów Afryki, sprawdzić spostrzeżeń swego nauczyciela, do którego też napisał wkrótce: „Mniemany kwiat koralu, jest zwierzątkiem z gatunku mięczaków; płatkowego są to nogi, a kielich to ciało zwierzątka wychylone ze swjej komórki.“ Słowa te, Peyssonnela, wprost przeciwne pojęciom współczesnych, wywołały żywą opozycję. Jakkolwiek były prawdy najbliższe, przyjęto je z uśmiechem niedowiarstwa, równie jak dowodzenie Bernarda Palissy, że muszle i szczątki organiczne, w różnych warstwach ziemi przechowywane, należały do jestestw starożytnych geologicznych okresów.

Umysł ludzki, gonąc za pochwytem prawdy, bierze często zwodnicze ogniki za rzeczywiste światło; więc go pociąga flogiston Stahla, niż Fultona motor parowy. Spostrzeżenia też Peyssonnela, pomimo poparcia Buffona, odrzucono; Bernard de Jussieu i Réaumur potępiali je głośno jako mrzonki bujnej wyobraźni młodego lekarza, i nie zajmowano się więcej tym przedmiotem aż do roku 1740, w którym sławny Tremblay zdziwił świat uczony studiami swemi nad *polypem wód słodkich*, istotą równie jak koral zagadkową. Wtedy przekonania uprzedzonych przeciwników Peyssonnela chwiać się poczęły i postanowiono

z badać tę niewyjaśnioną kwestyę. Bernard de Jussieu, Réaumur i Guettard, oddali się każdy z osobna nowym poszukiwaniom i wszyscy przyszli do jednakowego rezultatu, t. j. że koral, tołpie i t. p. tworzy do królestwa roślinnego zaliczane, przedstawiały cechy główne zwierzęce. Wątpliwości upadły: nazwę polipów nadano istotom drobnym, galaretowatym, które kształtem tylko rośliny przypominają; nazwę polipnika części twardziej, krze-

wiastej. Niewłaściwie jednak ten ostatni uważano za wytwór polipów. W nowej edycji dzieła Cuvier'a, wydanej przez p. Milne-Edwards'a, ozdobionej rysunkami polipów morza Śródziemnego, równie jak w studjach p. J. Haime'a nad polipnikami, znajdujemy ważne objaśnienia dotyczące się koralu i pokrewnych mu zwierzokrzewów; brak w nich jednak dokładnych wiadomości co do organów rozradzających, zapładniania jaj, rozwijania się poczwerek i pączków roz-

w środku otworem gwiazdkowatym, błędnie przez Piotra Boccone'a uważanym za organ transpiracyjny. Otwór ten rozszerza się, gdy polip usiłuje wydobyć się z komórki mieszczącej jego części miękkie. Zwierzątko wtedy przedstawia się w postaci woreczka, którego część dolna łączy się z powłoką korową, utworzoną przez polipnik, część zaś górna, wolna, przedłuża się w rurkę błoniastą, przejrzystą, zakończoną ośmioma ramionami, na brzegach

włoskowatemi. Długość średnicy utworzonej przez dwa przeciwne ramiona wynosi zwykle od 2 do 4 milimetrów; 8 macków na ciele koralu opisuje koło, w środku którego wydatnie brodawka, z otworem jedynym przewodu trawiącego. W chwili spoczynku otwór ten przedstawia szczelinę z zaokrąglonymi brzegami, naśladującymi dwie wargi.

Budowa wewnętrzna polipów jest niemiernie godna uwagi, jak kształty ich zewnętrzne. Ramiona i ściany wydrążenia głównego składają się z dwóch bardzo różnych warstw. Zewnętrzna, gruba, gęsta, utworzona jest z drobniutkich komórek; warstwa zaś wewnętrzna kory składa się również z komórek, ale średnicy przynajmniej 10 razy większej, tworzących

w skutek ułożenia się obok siebie rodzaj siatki, której oczka rozszerzają się odpowiednio do wyginania się ciała i macków.

Niezliczone migawki (rzeski drgalne) zaścielają całą powierzchnię tej siatki śluzowej, od najgłębszych części jamy trzewiowej, aż do wydrążenia ramion i najdrobniejszych ich cebulek włosowych; migawki bowiem grają niezmiernie ważną rolę w ustroju polipów, o której niżej powiemy.

Powłoka zewnętrzna, tak zwana kora koralowa, składa się głównie z materii przezroczystej, komórkowatej, we wszystkich kierunkach poprzerzynanej kanałami, w których się mieści ciało polipów, i zasłanej mnóstwem ciałek żywego czerwonego koloru. Są to nadzwyczaj drobne (0,05—0,07 milimetra) skupienia wapienne, podłużne, pokryte jakby kryształkami drogich kamieni o błyszczących ścianach, P. Lacaze. Duthiers nazywa je *sclerytami* (ze-

szkleniami). Swammerdam, genialny autor dzieła *Biblia naturae*, dał pierwszy dokładne objaśnienia o tych pierwiastkach krystalicznych kory koralowej; od których czerwony farbnik tkanki polipów pochodzi.

Przejdźmy teraz do najważniejszej części polipnika, to jest do części kamienniej, przez jubilerów do przyozdabiania wyrobów złotych używanej.

CHARAKTERYSTYKA ŁASEK.

Pomysł i rysunek Henryka Pillatego.



Laska dla zajęcia ręk, które czasem bywają zbyt czynne.

rodnych, przetwarzających każde indywiduum wylęgle z jajka w krzewistą gromadę zwierzątek, jakkolwiek wszystkie te części dopiero ciekawe życie koralu wykryć mogą.

Ten trudny program rozwiązał w ostatnich czasach p. Lacaze-Duthiers; w dziele jego podane są oprócz tego sposoby ścisłej obserwacji, postępowania z koralami żywymi, utrzymywania ich w akwariach it. p. Pyszny atlas, z 20 tablic złożony, z rysunkami z drobiazgową dokładnością przez samego autora wykonanymi, objaśnia szacowne spo-

strzeżenia. Znajdujemy w nim kilka typów zwierząt morskich, dotąd zupełnie nieznanymi, między którymi odznacza się: *Chevreulius callensis*, rodzaj mięczaka dwuklapowego, znalezione go w wodach portu La Calle, miasta w Algierii.

Koral należy do tych drobnych istot, którym natura od najodleglejszych czasów geologicznych powierzyła ważną misję oswabdzania mórz z soli

wapiennych. Wody nasycone kwasem węglanym, zmywając lądy, rozpuszczają te sole, wsiąkające następnie w pokrywę polipów i tworzące z nich rodzaj zbroi, zabezpieczającej delikatne organa zwierzokrzewów od gwałtownych uderzeń fali morskiej.

Koral, jest to grupa zwierzątek złączonych z sobą wspólną tkanką, powstająca zawsze z jednej istoty drogą pączkowania; jest to rodzina liczna i niestannie pomnażająca się, zjednoczona nierozdzielnie z członkiem który rzucił pierwsze jej podstawy; indywidualność ginąca w dzia-

łaniu zbiorowości, jedność urzeczywistniona przez mnogość.

Gałązka koralowa w pełni rozwoju zaleca się przezrystością tkanki, doskonałością symetrii i wytwornością kształtów. Lśniącą białą zwierzątko odbija od żywej barwy krwistej części kamienniej; po wydobyciu z wody pokryta jest ona brodawkami niemiernie wydatnymi, z których każda odpowiada jednemu polipowi. Brodawki te opatrzone są



Bambus, mający 35 lat nieprzerwaną służbę.



Trzcina do opędzania się od zwierząt domowych w nieskończonych peregrynacjach po podwórząch.



Laska będąca nierozłączną towarzyszką torby.

Polipnik przedstawia się pod formą stożkowatą albo walcowato-stożkowatą, powierzchnia jego porznięta bywa rowkami mieszczącymi naczynia powłoki korowej; które tworzą gatunek wąskiej pochewki, przebiegającej wszystkie jego rozgałęzienia, naginając się do kształtów najdziwniejszych.

Kształt walcowaty polipnika nie jest pierwotnym, przejawia się bowiem pod postacią jednej lub kilku blaszek, zbiegających się pod kątami płaskimi nieregularnymi, o czem można się przekonać, ogalając z kory gałązki nowo ukształtowane; jeżeli następnie polipnik staje się walcowatym, pochodzi to ztąd, że nierówności boczne pierwszego jądra wapiennego wypelniają się z wolna przez osadzanie się warstw spółrodkowych, ściśle na sobie układających się.

Sposób żywienia się koralu i organa które do tego im służą, zalecają się przedziwną prostotą. Żołądek koralu, tak samo jak u żegawnic, łączy się bezpośrednio z przyrządem roznoszącym płyny żywiące. Ten ostatni, zajmujący wnętrze kory, składa się z podwójnego rzędu naczyń, zbadanych przez p. Lacaze-Duthiers za pomocą nastrzykiwań. Naczynia takowe, po całej swej długości walcowate i stosunkowo bardzo grube, biegną obok siebie równolegle wzdłuż powierzchni polipnika, pozostawiając na niej rowki i tworząc to co autor nazywa „warstwą głęboką naczyń równoległych kory”. Służą one do przechowania w zapasie większej części płynów żywiących, chroniąc je o ile można od przymieszek, łączą się zaś z innymi naczyniami materii korowej. Te znowu w nieprzeliczonej liczbie tworzą siatkę o oczkach nierównych, która zajmuje całą grubość kory i formuje nieskończoną ilość komunikacji pomiędzy swemi częściami głębszemi a wierzchniemi, z czego pochodzi dziurkowatość różnorodna blaszek cienkich, widzialna pod mikroskopem.

Siatka powyższa kory jest w bezpośrednim związku z wydrążeniami wewnętrznymi polipów, za pomocą naczyń do niej dochodzących; czerpie ona z jamy trzewiowej płyny które tam wlała rurka żołądkowa, i roznosi je na wszystkie punkta osady koralowej.

Za pomocą tych licznych naczyń kory, wszystkie indywidua mają zapewnioną łatwą komunikację z organizmami swemi w szczególności; każdy polip, zaopatrując się bezpośrednio w pożywienie, je i trawi dla wszystkich. Wymiany wzajemne trwają nieustannie, każdy członek żyje dla całej osady, a ta odwrotnie dla niego. Solidarność jest tu ściśle zachowana i nikt nie może usuwać się od pracy żywotnej sąsiadów.

Główne cechy zwierzęce, ruch i czucie, dostrzegamy u koralu; systemu jednak nerwowego dotąd nieznamy, mięśnie zaś powiększonej części wyręcza materia, mogąca kurczyć się i rozciągać, przez Dujardin'a nazwana *sarkodą* (pierwiastek mięsny w mięśniach), którą wypadałoby uważać za główny organ ruchu.

Pozostaje nam mówić o sposobie rozradzania się koralu, o powstawaniu i osadzaniu stałym poczwarek (larw).

Rozradzanie się następuje za pomocą pączków wytworzonych kosztem powłoki korowej krzewiastej. Ten rodzaj rozmnażania się przez materię zarodkową, szczególnie jest widocznym u polipów w końcach pni umieszczonych; w razie zerwania się gałązki korowej, bliźnia tworzy odrostek, którego powierzchnia jeży się po jakimś czasie pączkami rozrodnymi. Rozmnażanie się indywiduów drogą pączkowania, ściśle biorąc, jest tylko objawem z żywienia się pochodzącym; gdy bowiem polip osiągnie wzrostu odpowiedniego, pokarm nadmiarowy już nie służy do żywienia i powiększania jego ciała, ale do utworzenia nowej, podobnej mu istotki. U polipa wód słodkich każdy wykończony pączek zwięza się u podstawy a następnie odłącza, prowadząc życie od rodzica niezależne; u koralu i innych polipów tołpiowych, nowe indywiduum łączy się stale z pierwotnym. Ten jednak sposób rozradzania się nie wystarczałby dla zwierzątek połączonych tak nierozdzielnie; rozrost nowych osad byłby niemożliwy. Dlatego to w czasie gdy pączki pomnażają rozgałęzienia, zarodki rozpraszające się dają możność koralom rozradzania się zdala od pierwiastkowej swej siedziby.

Koral jest zwierzątkiem jajożyworodnym. Zarodki w kształcie ciał białawych, jajkowatych, pokrytych migawkami, i niezmiernie ruchomych, pozostają długo w jamie trzewiowej samic; niekiedy zagłębiają

się one w jamę około przewodu pokarmowego, a nawet dostają w wydrążenia macków.

Poczwarki wychodzą przez szeroko rozwarte usta matek; ruch migawek i kurczenie się ścian ciała macierzystego dopomaga do ich oswobodzenia. Długość poczwarki jest wtedy dwa razy większą od jej szerokości, w końcu jednak okresu swobodnego życia, zwierzątko powiększa 10—15 razy swoją szerokość, stając się podobne do maleńkiego białego robaczka. We wszystkich fazach swego bytu, od wyjścia z jajka aż do osadzenia się stałego, poczwarka koralu obdarzona jest zdolnością kurczenia się i przybierania w mgnieniu oka najrozmaitszych kształtów. I tak w stanie spoczynku jest gruszkowatą, gdy zaś pływa, walcowatą, nitkowatą, a nawet skręconą spiralnie.

Poczwarka kończyny ust odwraca w tył, jak gdyby czuła potrzebę osadzenia się. Gdy po wytworzeniu swem poczwarki opuszczają się na dno morza, wznoszą się następnie zawsze w kierunku prostopadłym, dopóki ich szeroka podstawa nie spotka skały. To objaśnia, dlaczego koral osadza się u spodu skały, a nie powyżej ich. Gdy zbliży się czas osadzenia się, forma robaczka ustępuje miejsca kształtowi brzuchowatemu, a nakoniec tarczowemu. Młody polip, raz osadzony, przybiera bezwzględnie farbny czerwony. Wzrost jego nie przechodzi 1/4 milimetra; skurczony przejawia się pod mikroskopem nakształt tarczy soczewkowatej, blade-różowej, lub też w postaci małej brodawki; gdy zaś jest rozwinięty, zdobi go biała korona przejrzysta, uformowana z ośmiu macków włoskowatych, wytworzonych już przez pączkowanie na powierzchni nabrzmienia brzeżnego.

Za pomocą mikroskopu łatwo jest sprawdzić, że kolor czerwony zwierzątka nie pochodzi z materii jednostajnie rozlanej, lecz od ciałek wapiennych, farbujących tą barwą głąb tkanki; błędnie przeto niektórzy dowodzą obecności tych pierwiastków krystalicznych w zarodkach i w samych poczwarkach. P. Lacaze-Duthiers okazał, że powstają one dopiero wtedy, gdy poczwarki przeszły w życie osadowe.

W ustroju koralu, jak i wszędzie, podziwiać musimy cudowną mechanikę, siły twórczej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przegląd artystyczny.

Wystawa krajowa sztuk pięknych.

Po chwilowem w końcu przeszłego roku spełnieniu Wystawy krajowej, nastąpił upływ: znikły obrazy przeznaczone na Wystawę powszechną, znikły po większej części i te, które los wyznaczył szczęśliwym uczestnikom Towarzystwa, a pozostałe, mimo sztucznego rozstawienia, nie mogły osłonić pustek, tém bardziej uderzających po chwilowym natłoku.

Powoli jednak nowe pokolenie zapelnia miejsce dawniejszych, rozproszonych teraz po świecie mieszkańców tych salonów. Zróbmyż znajomość z tą pogodną rzeszą dzieci wyobraźni.

Każdy utwór pędzla, jeżeli jest zarazem utworem sztuki, musi nosić to znamie nieśmiertelne, jakie tylko nadaje idea wcielona, pełna, zamknięta. Zdolność idealizowania, to talent poetycki wrodzony, ale koniecznie rozwinięty wszechstronną nauką i badaniem wzorów, które uczą nas jak mamy używać natury do artystycznych celów. Chcąc podnosić do ideału, trzeba mieć materiał odpowiedni, a tego dostarczyć tylko może natura; naśladowanie więc natury, zgłębienie jej tajemnic, jest drugą połową zadania, równie jak pierwsza nieodzowną. Szczęśliwy kto umie połączyć te dwa warunki działalności artystycznej i w połączeniu ich zachować równowagę. Indywidualność, styl, charakter właściwy, jest ich wynikiem, korona; o nie się trzeba starać, a reszta będzie dana. Młodzi artyści, goniący za stylem własnym, za oryginalnością, wpadają tylko w manierowanie. Styl sam przychodzi, kiedy kto szczerze pracuje, styl.... to człowiek.

Nie mam zamiaru narzucania uwag moich ludziom, którzy pracując specjalnie w zawodzie artystycznym, więcej mają sposobności widzieć i wie-

dzieć szczegółowo; ale niepodobna rozmawiać o sztuce, a nie wynurzyć swoich obaw lub nadziei. Otóż, zdaniem mojem, grzechem powszednim i powszechnym tłumy naszych obrazów jest manierowanie, znaczące w sztuce coś podobnego, jak kiedy kto w życiu towarzyskiem przybiera pewne role, zamiast występować w naturalnem swoim usposobieniu. Otrząsnąć się z tego można jedynie gorliwem studyowaniem natury i człowieka, z całym obszarem wiedzy jaką zdobył.

Tak, z całym obszarem wiedzy ludzkiej, powiadam. Wcielać idee, idealizować naturę, może tylko poeta. Poeta-malarz nietylko farby i płótno ma za materiał, ale właśnie owę wiedzę ludzką. Tylko umysł dojrzały, rozwinięty, pełen zasobów, może *tworzyć*; tymczasem często się zdarza, iż młodzi artyści, pełni zapału dla swojej sztuki, nie uznają tych podstaw prawdziwego artyzmu, nie widzą i nie chcą widzieć niczego co się bezpośrednio z malarstwem nie wiąże. Ufając tylko biegłości w użyciu pędzla i swemu natchnieniu, zamykają się w ciasnym kole wyobrażeń, a talent ich, zamiast w drzewo olbrzymie, wyrasta w krzaczek. Przedwczesna twórczość zarówno w malarstwie jak i w innych sferach sztuki jest zgubna; należałoby się długo ograniczać z jednej strony do studyów z natury i z dobrych wzorów, a z drugiej do wszechstronnego umysłowego rozwoju.

Wprawdzie historia sztuki przytacza nam imiona malarzy znakomitych, powstałych z pastuszków, lub z chłopców posługujących w malarskiej pracowni; ale wzory te służą nam tylko za dowód, co może żelazna wola, parta głębokim uczuciem powołania. Większa część tych samorodnych artystów średniej tylko doszła wysokości i pozostawiła dzieła, choć znakomite, lecz nacechowane stanem mniej lub więcej grubiej nieświadomości w jakiej pozostawali. Z pewnością byłiby dziesięćkroć większymi artystami, gdyby stali na wyżynach ówczesnej wiedzy ludzkiej. Michał Anioł, Holbein, Rubens, byłiby znakomitymi ludźmi, choćby wcale malarzami nie zostali.

Obok tego idealnego spokoju, o którym wyżej mówiliśmy, właściwością szczególną malarstwa jest ruch, ale ruch form, światła, powietrza, barw. Malarstwo goni za pozorami rzeczywistego życia, a życie nie zna spoczynku; przyszłość zaledwie się obecnością stała, już w przeszłość się pogrąża. Malarstwo nie powinno nic takiego przedstawiać, co by się dało pojmować niezawisłe od czasu i zewnętrznych warunków istnienia; to raczej zakres rzeźby. Trudność malarstwa leży w pojęciu ruchu rzeczywistych przedmiotów lub warunków w jakich się przedstawiają, to jest powietrza, światła, barw; w dokładnem oddaniu tego, co jest w najwyższym stopniu przemijające. Jakaż to ogromna różnica, rysować z nieruchomego modelu, a chwytać rysy, choćby znajomej osoby, ze zmiennych wrażeń, jakie podczas rozmowy na nas wywiera! Jak łatwo wyrzucić lub wymalować roślinę martwą na stole leżącą, a jak trudno narysować ją miotaną przez burzę!

Między krajobrazami, dość licznie reprezentowanymi na naszej wystawie, utwory pp. Brzozowskiego i Malinowskiego szczególnie odznaczają się tem dążeniem do przedstawienia ruchu, życia w przyrodzie. W ostatnim jednak krajobrazie p. Brzozowskiego, nadesłanym na wystawę, nie dostrzegłem tych zalet; dąbrowa martwa, woda przeciskająca się przez kataraktę głazów i pni starych, jakaś zagaśta; kolorystowi takżeby zbytęzną jasność można zarzucić.

Malinowskiego krajobrazy „dzienny i nocny,” tworzą z dawniejszym „wieczornym” jedną seryą. Artysta miał widać na celu stopniowanie, ruch, grę światła. Trudne to zadanie, ale samo stawienie go sobie pokazuje, że p. M. wie dobrze co stanowi główny czar krajobrazu. Palmę pierwszeństwa przyznaćby należało wieczornemu krajobrazowi. Zdaje się że patrzący czuje wiatr który porusza konarami drzew i pędzi chmury po niebie. Zmrok zalegający powietrze, cienie w zaroślach nad rzeką wijącą się przez środek krajobrazu, wszystko to w wysokim stopniu prawdziwe. „Dzień” także piękny, okolica studywana z natury i czysto swojska, tylko jak na ideał dnia, zamało tam blasku, zamało słońca. Więcej światła roztoczył p. Malinowski w milutkim małym krajobrazie, z tych samych tematów złożonym, z chatki, dróżki polnej, kilku ludzi, kilku drzew

i promieni słońca. „Noc“ piękna także; krajobraz efektowy, może nawet trochę zapretensjonalny. Między dwoma piaszczystymi wzgórkami, obrosłymi w krzaki i drzewa, ciągnie się wąż i kończy tajemniczym skretem za prawy wzgórek, na którym chata samotna miga czerwonym światłem z okna. Po lewej stronie nad drogą krzyż i zarośla; śródkiem drogi podąża jakiś starzec, wsparty na drobniejszej postaci; a na to wszystko, na chatę, krzewy, zioła i ludzi, księżyc z za chmury rzuca magiczne światło.

Szermentowskiego „Młyn wodny“ jest stereotypowym zestawieniem motywów w dawniejszych akwarelach tego artysty widzianych; czuć urzędową robotę, bez natchnienia, bez miłości przedmiotu.

Gierymskiego „Krajobraz leśny“ jest masą zieleni, rozartą w kształt grupy drzew. Na niej czerwono ubrany człowiek wygląda jak liszka na liściu kapusty. Talent widoczny, ale trzeba studiować naturę.

Czém jest studyowanie natury dla pejzażysty, to łatwo pojąć, nie potrzeba długiego tłumaczenia. Ziemia, woda, drzewa, powietrze, światło, wszystko to są Proteusze, zmieniające się co krok, co chwila; trzeba je ukochać i śledzić wzrokiem zakochanym, chcąc je malować. Trudniej określić jaki jest zakres idei w malarstwie krajobrazowym. Teoria historycznego malarstwa i jego gatunków: rodzajowo-historycznego, alegorycznego, obrazów według poetycznych tekstów, określona jest ściśle; tożsamość powiedzieć można o malarstwie rodzajowym i portretowym, ale nie o krajobrazach. Produkcja ich jest tak bogata i różnaita, że trudno je podciągnąć pod ściśle, abstrakcyjne pojęcia. Właściwie tylko człowiek jest reprezentantem idei; wszystkie inne przedmioty w świecie o tyle tylko ją przedstawiają, o ile w nie człowiek swego ducha włoży, o ile im nada duchowe znaczenie. A że symbolika nie może być zadaniem krajobrazu, więc ostatecznie tylko prawda form, ich jedność, harmonia, stanowi wartość tego rodzaju utworów.

W bliskim z nimi pokrewieństwie są widoki architektoniczne; tylko tu już znikła nieskończona różnorodność pojęcia i traktowania przedmiotu, a pozostaje znajomość perspektywy i pracowitość wykonania. Celują w tym względzie twory *Marcina Zaleskiego*, którego dwa nowe obrazy: „Wnętrze katedry medyolańskiej“ i „Wnętrze kościoła św. Anny“, zachwycają harmonią rozmiarów i drobiazgowym wykonaniem.

Wyszyńskiego „Wnętrze kościoła Przemienienia Pańskiego“ równie posiada zalety. Dzieła sztuki architektonicznej, będące potrzebą, chlubą i rozkoszą społeczeństw, ulegają zmianom stopniowym, a czasem i nagłym; dobrze gdy pędzel ich pamięć od zaguby ustrzeże.

W portretowym malarstwie już występuje na jaw idea, choć nie tak rozwinięta, ani tak pełna, jak w rodzajowym lub historycznym. Gdy bowiem głównym zadaniem portretu jest podobieństwo, podobieństwo fizyczne i duchowe, ale zawsze tylko podobieństwo, w wyższych rodzajach malarstwa postaci, oprócz prawdy zmysłowej i duchowej, składać mają całość harmonijną, nie *wizerunek*, ale *obraz*, przemawiający wyraźnie do naszej duszy, budzący w niej myśli i uczucia jak obudzić mistrz-artysta zamierzył.

Portretowemu malarstwu w ostatnich czasach fotografia stanęła niebezpieczną rywalką, i jak to często sprawiają rywale, zwróciła je na dobrą drogę, zmuszając do pilnego studyowania natury. Traktowana z początku wzgardliwie przez malarzy, fotografia szybko czyniła postępy. Po ulepszeniu swoich środków fizycznych, zwróciła staranie na artystyczne warunki obrazu. Odrażająca martwość słonecznego portretu zaczęła znikać, w miarę jak preparaty chemiczne coraz czulsze się stawały na działanie światła. Kiedy dawniej pozowanie minutami liczone, teraz sekundy wystarczają. Nietylko mniej zamożni, dla których cena malowanego portretu była zbyt drogą, ale i zamożni i znawcy sztuki fotografują się teraz, powodowani taniością, podobieństwem i łatwością nabycia dowolnej liczby egzemplarzy portretu. Litografie, miedzioryty, staloryty wprawdzie tak samo dostarczają setek egzemplarzy, ale kosztują dużo, jeżeli mają być dobre.

Tak więc w krótkim czasie szeroko rozpowszechniła się fotografia, proces chemiczno-optyczny, przy

którym bynajmniej nie chodzi o zdolności malarskie, przynajmniej o ile to dotyczy samego zdjęcia wizerunku. Weszły w użycie albumy z krewnymi, znajomymi, znakomitościami krajowymi i zagranicznymi, i fotografia wkrótce stała się potrzebą prawie wszystkich warstw społecznych, co nie pozostało bez wpływu na sztukę. Najprzód ucierpiało mocno malarstwo portretowe, które szczególnie dla młodych malarzy było łatwym i pewnym źródłem zarobku, a wielu portrecistów porzuciło pędzel i paletę, aby wejść w służbę fotografii, nowej potęgi.

Bądź co bądź, to pewna, że wizerunek fotograficzny nigdy nie może nosić na sobie piętna wolnego, zrodzonego z ducha utworu sztuki. Człowiek widziany w jednej, którejkolwiek chwili, nie jest nigdy całkowicie sobą. Musimy go obserwować w pewnym szeregu położeń, aby mieć dokładne wyobrażenie o całości jego ducha i charakteru. Tę całość, to co istotne, wrodzone, wraz z tym co przypadkowe, nabyte, winien portret ogarnąć, przedstawić. Samą zewnętrzną podobieństwo, to dopiero fundament, na którym wyrazić trzeba podobieństwo wewnętrzne, duchowe portretu z oryginałem. To zaś tylko duch i uczucie artysty pojąć i odtworzyć może. Tu mechanika na nic się nie zda; rzeczywistego życia ludzkiego nie przedstawi nawet najsubtelniejsza materia.... światło. Ziemskie środki nie odzwierciedlą tego, co jest nadziemskie: na to potrzeba ducha.

Wprawdzie wiele da się osiągnąć, jeżeli fotografujący się umie tak pracować nad swoimi rysami twarzy, że w zupełnie nieprzymuszony sposób może im dać pewien oznaczony wyraz. Artyści dramatyczni miękają najwyrazistsze i najlepsze fotograficzne portrety, pozując w pewnym oznaczonym usposobieniu, dochodząc aż do akcji duchowej. Ale czy ten wyraz w istocie jest obrazem wewnętrznego życia osoby? Nie; aktor gra rolę—jego jest tylko forma twarzy.

Dawison, o którym zapewne nikt nie powie iżby nie umiał panować nad wyrazem swojej twarzy, był bez wątpienia kilkadziesiąt razy fotografowany; ale to nie portrety Dawisona-człowieka, tylko Dawisona-artysty. W istocie, aktorowi trudno samego siebie reprezentować, ale choćby to nawet potrafił, zawsze brak będzie w fotografii tego właśnie, nad czém człowiek nie pracuje, a co go szczególnie wyróżnia. Tu zatrzymać może artysta nad martwą maszyną i chemicznymi, odczynnikami; tu sztuka stoi na wysokości, której jej rywalka, fotografia, nigdy nie dosięże.

Ale *ars longa*, utalentowanych portrecistów tak mało, jak i innych prawdziwych artystów, a nad ogółem tuzinkowych pędzla wyrobów, z maskowatą twarzą, szklanymi oczami, sztywną figurą i nieodzwonnie w pierścieniu ustrojona ręka, fotografia już stanowczy triumf odniosła, i to pewno nie na szkodę prawdziwej sztuki.

Z przybyłych w ostatnich czasach na Wystawę portretów, *Kaniewskiego* „Portret mężczyzny w wieku“ i drugi „młodego człowieka“ z ołówkiem w ręku, policzyć należy do lepszych prac w tym rodzaju. Podobieństwo, mianowicie w pierwszym utworze, jest zupełne; czy wyraz duchowego usposobienia nie uległ częściowej zaturacji, o tym nie śmiemy sądzić stanowczo. Traktowanie cery w obudwóch utworach ma także coś wadliwego, nienaturalnego.

Pastelowy portret mężczyzny, wykonany przez p. *Emilię Dukczyńską*, świadczy o jej wysokiej wprawie w tego rodzaju malarstwie.

Godeckiego olejny „portret mężczyzny“ cechuje dobra metoda, ale zresztą wszystkie te prace nie przechodzą granic mierności.

Do tego działu z nowoprzybyłych płócien na Wystawę doliczyć należy *Buchbindera* „Starca“, chociaż to raczej jest studyum niż portret. Zaleca się ten starzec silną i pełną prawdy charakterystyką.

Utwory p. *Buchbindera* pierwszy raz podobno zjawiają się na naszej wystawie. Widać pędzel zdolny, silny, na dobrych mistrzach zaprawiony, dobre pojęcie kolorytu i światła, ale obok tego w obrazie rodzajowym „Ulicznik rzymski“ wytknąć musimy niewłaściwy kierunek, jaki obrał sobie p. *Buchbinder*, a jaki i w wielu tutejszych artystach spostrzegać się daje, mianowicie zupełnie naturalistyczny. Panom tym nie chodzi wcale o to *co*, tylko *jak* będzie odmalowane; nie chodzi o idealne podniesienie prawdy naturalnej, o treść pełną ducha i uczucia, ale o skopiowanie najzupełniejszej trywial-

ności rzeczywistego życia, trywialności brzydkiej lub błahej, bez charakteru, bez znaczenia. Taki rodzaj malarstwa, to najniższy stopień sztuki. Do czego dojsz może martwe kopiowanie natury, pokazała fotografia, w sposób zawstydzający rękę ludzką. Ale wracając się do tego co już wyżej powiedzieliśmy, to co nam daje i dać może fotografia, nie jest artem; fotografia podaje tylko ściśle naśladowanie natury, jako środek do potężnego wrażenia. Malarz ma wyższe zadanie nad rywalizacją z optycznym aparatem i dostarczanie nam malowanych fotografii. Prawdziwość natury, to niedosyć, należy posunąć się krokiem dalej i dawać utwory mające znaczenie dla ducha i uczucia, a wtedy im prawdziwszy będzie obraz, tym silniejsze będzie wrażenie. Dobry rysunek, oświetlenie, koloryt, nie wyda jeszcze rzeczywistego utworu sztuki. Studyum nie jest obrazem. Nawet w obrazach z życia ludowego nie powinno nigdy braknąć tego żywiołu, który nas w sposób prawdziwie ludzki cieszy, wzrusza lub przeraża, stosownie do właściwości postaci przedstawiających się wzrokowi naszemu.

Ze „Ulicznik rzymski“ jest malowaną fotografią, lub też zasługuje na nazwę studyum, a nie obrazu, tego szczegółowe dowodzenie byłoby zbyt długie, po tym cośmy powyżej powiedzieli.

Streita „Żebrak“, *Eliasz* „Klucznik“, *Mireckiego* „Góralik w mieście“ należą do tej samej kategorii. Każdy z tych utworów ma zalety mniej lub więcej dobrego studyowania natury; ale pomysłu w nich bardzo mało. „Klucznik“ jest ładnym portretem kostiumowym, ale tylko z pęku kluczy można wnieść o jego godności klucznika, tak jak w ludowych obrazkach świętych, z klucza można domyślić się świętego Piotra, z klawiatury organów świętej Cecylii, z węża i kielicha świętego Jana i t. d. „Góralik w mieście“ ze wszystkich wyliczonych powyżej rodzajowych portretów najwięcej zadowala idealne wymogi sztuki; — jest trochę dramatyczny ten malec, a i technika o wiele przewyższa dawniejsze prace pana *Mireckiego*.

Barbara Radziwiłłówna ciągle jeszcze jest źródłem natchnienia dla naszych artystów. Prześpiewali ją prawie wszyscy poeci, teraz ją malują malarze. Przedmiot to wysoko poetyczny bezwzględnie, ale czyż nasza historia nie dostarczy innych, równie, lub nawet w wyższym stopniu poruszających uczucie i wyobraźnię? Pocóż tak biedz raz utworowanym szlakiem, kiedy na prawo i na lewo jedna za drugą panoramy wspaniałe czekają tylko umiejętnej ręki, coby je do życia nieśmiertelnego powołała; poco wydzierać sobie rzecz znalezione, kiedy dość schylić się, aby szczęśliwym znalazcą zostać. Należy na to pamiętać, iż kto przystępuje do materiału już wyzyskanego pod względem poetycznym, winien więcej z niego wydobyc, niż jego poprzednik, jeżeli chce osiągnąć wrażenie. Nie tu miejsce rozbiierać kto lepiej opiewał Barbarę: *Bronikowski* czy *Wężyk*, *Feliński* *Odyniec*, czy *Magnuszewski*; to jednak pewna, że w poczcie malowideł „Barbara Radziwiłłówna w Dubinkach“ p. *Cynka* nie zajmie pierwszego miejsca. Obraz ten liczy się do rodzaju „ilustracji“ i w zbiorze listów *Zygmunta* i *Barbary*, jako winieta, byłby bardzo na swoim miejscu; jako obraz sztalugowy grzeszy niezrozumiałością.

Pan Mirecki, dał nam także „Barbarę“, przechadzającą się pod rękę z *Zygmunt*em w ogrodzie nad brzegiem wody. *P. M.* lubi dobiierać romantyczne sytuacje, nie objaśnił tylko czy ta para kochanków sunie tak już na tamtym świecie, czy też to sytuacja wzięta z życia. Sądząc z podpisu „Ogród Radziwiłłowski“, wnoszłoby można że to jeszcze *sub Jore*; wnosząc z pędzla, musi to dzieć się już na polach Elizejskich. W postaciach tych niby ludzi niema kropli krwi; drzewa nigdy nie widziały światła dziennego, a po takiej wodzie chyba *Charon* może pływać. Cień ogrodu rzuca cień na cienie *Zygmunta* i *Barbary*, a cienie łabędzi płyną po cieniu wody. Takie obraz robi wrażenie.

Nareszcie obraz *Simmlera* „Wychowanie *Zygmunta*“, wrócił z długiej wycieczki znowu na Wystawę. Tu to dzień, tu rzeczywistość! Ale to stary znajomy naszej publiczności, nie będziemy więc wracać do rzeczy dostatecznie rozebranych.

Wspomniemy tylko jeszcze o *Suchodolskiego* „Przełądzie koni“ i *Kossaka* „Powrocie z wyprawy.“ Obie te nowe prace reprezentują dokładnie zalety i uło-

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Rysował F. Kostrzewski.

mności dawnych utworów tych artystów. „Przeгляд koni”, ma to być sielanka starszlachecka czy gawęda malowana, ale odpycha bagatelnością treści, papuziem barwami i lalkowatością form. „Powrót z wyprawy”, to także gawęda, ale podnosi ją nastrój elegiacki. Ta garstka ludzi i koni spuszczająca się ze wzgórków ku widnym zdala murom i wieżom, ujmuje patrzącego od pierwszego rzutu oka. Tu osłabłego w boju, może rannego towarzysza, dźwiga koń wierny; tu rannego konia prowadzi za cugle pan jego, z taką troskliwością, jak matka dziecię. Imaginacja z jednej strony mimowolnie tworzy sobie obrazy dramatycznych przygód, z których wracają ocaleni bojownicy, a z drugiej ciekawie spoziera w mury oddalonego miasta, wnioskując w sceny przyjęcia rodzinnego, które niezadługo tam nastąpią.

W. Barthkiewicz.

ROZMAITOŚCI.

Dawne szlichtady w Warszawie.

Tak zwane od włoskiego wyrazu *La slittata*, były to głośnie za czasów dawnej Polski przejażdżki zimowe po śniegu sankami. Zwykle urządzano je tylko po wielkich miastach z całą okazałością. Panowie i bogata szlachta przesadzała się wtedy okazaniem pięknych koni, ozdobnych sań, tureckich dywanów, które im je wyściełano i licznym dworem strojnie przybranym.

Według dawnych zapisek jakie posiadamy o szlichtadach odbywających się niegdyś w Warszawie, już w końcu XVI wieku, gdy się dobra sanna ustaliła, zbiegło się towarzystwo zamożniejszej młodzieży, które dawało dla pięknych Warszawianek szlichtadę. Było to kilkanaście lub więcej sanek, wszystkie snycerskiej roboty, pozłacane lub posrebrzane, najwięcej w kształcie łabędzi z długimi szyjami, lub jeżeli gładkiej roboty, wtedy na ich przodzie wy-



— Czy mogę pani służyć?
— Owszem, ale pod dwoma warunkami: najprzód dopiero od kwartału, a potem jeżeli znasz służbę i posiadasz dobre świadectwa.

biony był z drzewa to strzelec mierzący z fuzji do uciekającej zwierzyny, utkwionej na drucie drgającym za każdym poruszeniem sanek, to Ormianin sprzedający bakalie i cukry, to siedzący na beczce Bachus, lub inny jaki snycerski pomysł. Sanek takich dosyć bywało po nlicach Warszawy do najęcia. Konie wysokimi czubami i piórami ustrojone, skórą tygrysiem lub wilczem okryte, a szory licznymi okrągłymi dzwonekami naszywane, szczękiem i ciągłym dzwonieniem dodawały wesołości tej zimowej przejażdżce.

Na początku XVIII wieku, kiedy mody francuskie już były u nas upowszechnione, damy warszawskie wybierające się na szlichtadę, nie zważając na mróz, były wygorsowane, z ogromną fryzurą na głowie, gdzieś klejnotami ubrana, a tylko drogie futerko i rękawek kapłoni ogrzewał je, w futrzanym zaś worku chowając nogi, śmiało przeciw srogości zimna występowały.

Za każdym sankami siedział towarzyszący damom młody mężczyzna, bogatą węgierką lub bekieszą odziany, z harapnikiem w rękę, na którego odgłos dzielne rumaki podwajały kroku i zarywając zartkimi kopytami śnieg, rozsypywały go po białym przy sankach fartuchu. Obok nich liczni masztalerze na koniach, ozdobnie ubrani, dodawali świetności szlichtadzie, która tu w Warszawie zwykle odwiedzała Willanów, Wołę, Marymont, Mokotów, lub inne pobliskie miejscowości, gdzie suty podwieczorek bywał zamawiany.

W ostatniej połowie XVIII wieku miała jeszcze miejsce głośnie w Warszawie szlichtada w roku 1775. Podług współczesnego opisu, przed pałacem Radziwiłłowskim na Krakowskim przedmieściu (dziś Namiestnikowskim) zebrało się 248 sań, okrytych bogatymi makatami; do każdego było zaprzężonych sześć koni, ale nie obok, lecz jeden przy drugim, czyli jak to zowią 'szydłem. Każdy koń był okryty albo skórą lamparcia, albo tygrysią lub niedźwiedzią, a na głowie miał pęk piór strusich. Woźnica i dwóch forysiów powozili, ubrani w bogate suknie i duże czapki futrzane. W każdym

saniach siedziało kilka dam, stosownie a wytwornie wystrojonych.

Gdy uderzyła 12 godzina w południe, ozwały się trąby i kotły i wszystko ruszyło Nowym światem do Willanowa, zaś na przodzie i na końcu kawalkaty, w bardzo dużych saniach siedzieli muzycanci, którzy przez całą drogę wesoło i hucznie przygrywali. W Willanowie tańczono w pałacu przygotowanym na przyjęcie gości i suto częstowano, a gdy się zmierzchno, cała ta czereda przy blasku jarzących pochodni wracała do Warszawy, stając przed pałacem z kąd była wyruszyła.

Za moich czasów, pisze Magier w swoich notatach koło roku 1779, takowe przejażdżki w Warszawie mniej bywały liczne; wszelako szlichtada powracająca z Wiejskiej kawy (gdzie dziś posesya Nr. 1726 i 1727 przy ulicy Wiejskiej), gdy wstąpiła na poncz do cukierni Robiego przy Krakowskim przedmieściu, zabawiwszy tam blisko pół godziny wesoło, oprócz ponczu stawianego w wazach, tak cukiernikowi wypróżniła jego magazyn ciast i słodczy, że po ogólnym przybliżonym obrachunku wypadło fundatorowi zapłacić po 20 dukatów od osoby.

Zdaje się że to była ostatnia tego rodzaju publiczna zabawa w Warszawie, gdyż w późniejszych latach nie mamy już śladu, aby tłumne szlichtady odbywano.

Wystawa powszechna w Paryżu. (*)

Pisanie o korzyściach wystawy, było by wyrwaniem się nie w porę. Tyle już o tym pisano! Jednakże wystawa, mająca w roku bieżącym na *prima aprilis*, otworzyć się w Paryżu, znajduje się w położeniu nadającym jej szczególną a niepospolitą doniosłość. Dzieło pokoju, w pokojowej myśli poczęte, natrafiło na drodze swojej na przeszkody nieprzewidziane a ogromne. Horyzont polityczny zachmurzył się dokoła, jakby na to umyślnie, ażeby przeszkodzić duchowi ludzkiemu w pochwaleniu się zdobyczami postępu. Polityka, która powinna

(*) Zanim, po otwarciu wystawy paryskiej, specjalny nasz korespondent przesyłał nam znacznie dokładny jej opis, ze zwrotem szczególnym do przedmiotów krajowych, uważamy za stosowne poprzedzić sprawozdania jego kilkoma artykułami wstępniemi, objaśniającymi międzynarodowe, społeczne i przemysłowo-handlowe znaczenie wystaw powszechnych.

(Przyp red.)

(Ob. dodatek).

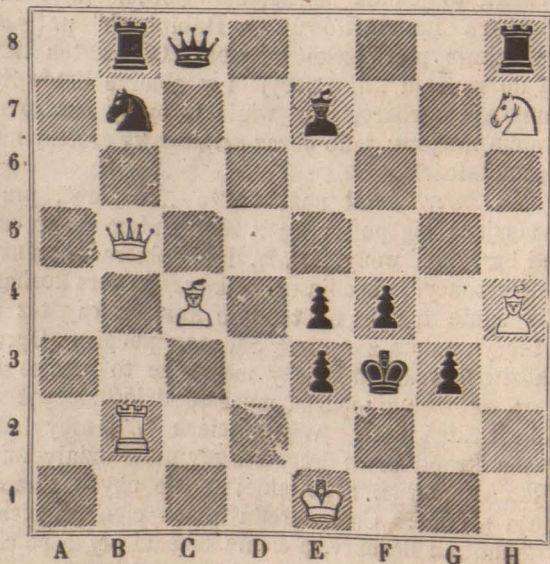
Szachy.

ZADANIE CCCXLII.

(B. A. Winawer w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za 4-tém posunięciem. (*)

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 341.

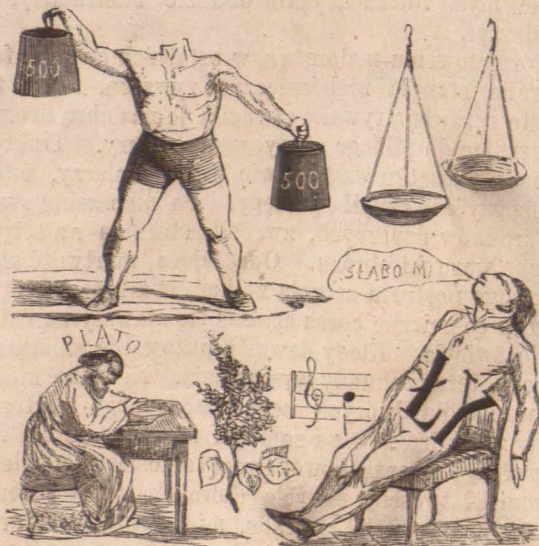
Białe.

Czarne.

- 1) B7—H1 1) B6—B5.
- 2) G1—G2 2) F4—E4.
- 3) G2—G4† i mat.

(*) Autor tej końcówki złożył w redakcyi szachy, roboty p. N., jako nagrodę dla nadsyłającego pierwsze rozwiązanie.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 385. Bolesci i zbytne rozkosze pochylają człowieka przed czasem.

(Dodatek).

była pomocne podstawić mu ramię, stanęła w poprzek, jak przeszkoda, jak tama wezbranemu potokowi, toczącemu wylazki i udoskonalenia w dziedzinie nauki, sztuki, przemysłu, rolnictwa i handlu. „Chcesz się chwalić, poczekaj, odłożymy to na inny czas;“ oto są warunki w których rozwija się myśl wystawy powszechniej 1867 roku, warunki najniepomyślniejsze, jakie tylko wyobrazić sobie można.

Pomimo to myśl owa rozwija się coraz dalej i dalej. Zamiar nie został zaniechanym, tylko zmienił znaczenie. Pierwotnie miał być wynikiem, obecnie stał się powodem ogólnego pokoju i wystąpił jako dzieło powszechniej pacyfikacji.

Przesądzać z góry niesposób, jak dalece rola ta, która się wystawie przypadkowo dostała, zostanie przez nią odegrana. Czy ostateczną jej wynikiem będzie powodzenie? Stawianie politycznych horoskopów na przyszłość jest zawsze rzeczą zawodną. Zresztą, nie mam tego zamiaru. Wspomniałem o tym dlatego jedynie, ażeby ukazać na związek jaki zachodzi pomiędzy politycznym nastrojem Europy, a przemysłową uroczystością, mającą stolicę Francji przemienić na przecięg kilku miesięcy w moralną stolicę świata. Ludzie zapomną na chwilę o Berlinach, Wiedniach, Londynach, Waszyngtonach, a nawet Pekinach. Paryż... Paryż jeden! Ku niemu bezpośrednio skieruje się cała ludzka uwaga, zśrodkują się wszystkie oczekiwania, nadzieje i interesa. Pierwszego kwietnia Paryż stanie się jedynym miastem na kuli ziemskiej:—inne wszystkie zejną do znaczenia miasteczek. Miastem nad miastami, środkowym punktem ciężkości świata, będzie Paryż póty, póki potrwa wystawa.

Znaczenie to potęgują warunki, wśród których odbywają się przygotowania wyżej wspomniane. Inne wystawy, jak naprzykład londyńska, przygotowywały się spokojnie. Nikt nie wątpił że się powiodą; nikt nie zapytywał: czy przyjdzie do otwarcia? nikt do żadnej nie przywiązywał takiej wagi. Z paryżką dzieje się inaczej. Dwa już tylko miesiące oddzielają nas od uroczystości otwarcia, a jeszcze są ludzie, w samym nawet Paryżu, utrzymujący, że nic z tego nie będzie. Utrzymywanie ich sprzeciwia się oczywistości, a jednakże nie jest bez powodów, któremi są nagromadzone trudności. Do otwarcia przyjdzie, o tym wątpić nie można; lecz przełamanie trudności, rzucających się w oczy każdemu, tak otwarcie, jak samą wystawę czyni ważniejszą niż wszystkie co ją poprzedziły. Idzie się do niej, że tak powiem, przebojem; więc ten przebojowy charakter będzie ona na sobie nosiła i charakter ten przyczyni się do uwydatnienia jej znaczenia.

Zastanówmy się nad tym znaczeniem.

Wystawa jest wyrazem konkurencji. Wykwitła ona ze współubiegania się wszędzie i ciągle, tylko w różnym stopniu nateżenia. W jednym miejscu jest ono mniejszem, w drugim większem. Zależy to od stopnia rozwoju, jakiego dosięgły potrzeby ludzkie i wynikający z nich popyt za przedmiotami, znamionujący rodzaj i stopień kultury. Gdzie kultura jest wyższą, tam popyt jest większy, bo potrzeby są rozleglejsze, tam też i współubieganie się ludzi pośredniczących pomiędzy producentem a konsumentem jest wyraźniejszem i żywszem. Na Wschodzie naprzykład, gdzie potrzeby są bardzo ograniczone, współubiegania się prawie niema, wystawa prawie nie istnieje, albo raczej istnieje, ale w pieluchach. Przedmioty zbytku nie występują tam przed oczami widza w symetrycznym, bawiącym oko i nęcącym smak ułożeniu. Chowają się w głębi sklepików i trzeba ich szukać. Przekupień lekceważy kupującego, jakby mu wyświadczał szczególną łaskę, że raczy pokazać jakąś droższą materiją i sprzedać za potrójną cenę. Wyjątek czynią drobniejsze lub bardziej w użyciu będące przedmioty: fajki, cybuchy, bursztyny, futra, konfitury i t. p. Na te jest konkurencja i dla tych istnieje wystawa sklepikowa, przybierająca coraz to szersze rozmiary, w coraz to większych miastach, w których do konkurencji miejscowej staje i przemysł zachodni. Niemieckie, francuskie i angielskie wyroby usuwają tureckie, spychając je na drugie miejsce i rozkładając się za szklami sklepów i magazynów w taki sposób, ażeby ściągnąć na siebie uwagę przechodniów. Ta konkurencja, jeszcze większa na Zachodzie, jeszcze wyraźniej występuje na wystawach, przywołując na pomoc już i artyzm i robiąc z niego środek przemy-

słowej zalotności. Magazyny naprzykład paryżkie, pod względem ułożenia towarów jakie mają na sprzedaż, są dziełami sztuki, czynią zadość jaknajzupełniej wymogom piękna. Weźmy dla przykładu sklep pierwszego lepszego kielbaśnika (*charcutier*). Przypatrzysz się mu, widzimy w rozstawieniu pasztetów, szynek, galaret, budeniów i t. d., ścisłą symetrią, taką samą, jakiej trzyma się budowniczy przy stawianiu gmachu publicznego, lub rzeźbiarz przy wznoszeniu pomnika. Jest tam piedestał, do którego jako materyał posłużyły ciastowe obsłony pasztetów z kuropatw; na piedestału wznosi się olbrzymia szynka lub dzicz łeb, niby odlew z brązu uczernionego przez czas; obok, w rodzaju armatury, szykują się czerwone ozory, białe, czarne i cieliste kielbaski, puszki, słoiki, flaszki i różne tym podobne rzeczy, dobrane do kształtu i koloru. A całego tego dobrania i gustownego ułożenia celem jest nie co innego, tylko to, ażeby sklep A wydał się piękniejszym niż B, C, D i wszystkie inne, to jest ażeby pokonał je na drodze konkurencji. Do tego, rozumie się, dodać jeszcze potrzeba taniść przedmiotów i jakoś takowych, jako warunek *sine qua non* konkurencji, figurujący także na wystawie. Kielbaśnik ustawia swoje pasztety nie tylko w tej myśli, ażeby udawały piedestał, nie tylko ażeby przemawiały pięknoscią kształtu i koloru, ale oraz ażeby zadziwiły niesłychaną taniścią i nadzwyczajną drobiażką.

Te jednakże sposoby wystawy, rosnąc z upływem czasu i rozwojem przemysłu, wyczerpały się najprzód w obrębie miasta, następnie w obrębie kraju. Konkurencja zaczęła się domagać wolnego handlu i, otworzywszy takowy w części, przeniosła się na obszerne jak kula ziemiska międzynarodowe pole. Z nią razem przeniosła się i potrzeba wystawy, poczęta w skromnych rozmiarach sklepiku. Sklepik jej nie wystarczał, wystąpiła w mieście, miasto nie wystarczało, wystąpiła w państwie. Dziś już i państwo jest dla niej szrankami zaciasnymi. Przemysł chce się pokazać światu całemu. Występuje więc nie jako osobistość, jak dotychczas, lecz jako międzynarodowe spółzawodnictwo, do którego stają osobistości zbiorowe, narody. I już na tym polu nie o samo tylko zalecenie towarów chodzi, ale i o uregulowanie przemysłu, przez rozebranie go pomiędzy narody, przez stosowny rozkład przemysłowej pracy. Jest to jedno z zadań powszechno-swiatowej wystawy, do rozwiązania którego prowadzi porównanie płodów i wyrobów. Tu się udaje dobrze, pod względem jakości i taniści, ten płód lub wyrób, owdzie inny; więc brać go i doskonalić potrzeba tam gdzie się udaje, a zaniechać tam gdzie się nie udaje. Wymiana przeto płodów i wyrobów, będąca w ekonomicznej teorii definicyą handlu, zbliża się, skutkiem powszechno-swiatowej wystawy, coraz to bardziej do rzeczywistości, a przez to i do wprowadzenia przemysłu na pole naturalne i jego działalności właściwe. Ustaną próby, ustanie macanina, ustanie, co może nie wszystkim się spodoba, działanie niewczesnego patryotyzmu w przemysle, to jest usiłowanie zawsze pocziwe, chociaż niezawsze w zastosowaniu trafne, gwałcenia natury przez fabrykowanie pewnych artykułów w takich miejscowościach, w których ani siły, ani środki nie po temu. Naprzykład jeżeli z porównania i obliczenia kosztów wyrobu i transportu pokaże się, że szpilka zrobiona w Anglii jest lepszą i tańszą we Francji, aniżeli ta sama szpilka zrobiona we Francji, to z tego wyniknie zapytanie: czy robiecie szpilek we Francji jest na swoim miejscu? Jeżeli jest, to z porównania wyrodzi się emulacja i przemysł szpilkowy francuski wynajdzie sposoby wycięgnięcia angielskiego; jeżeli nie, to po bezowocnych próbach upadnie i skoncentruje się całkowicie w Anglii, na czym stracą wprawdzie fabrykanci szpilekowi francuscy, lecz zyska publiczność szpilek potrzebująca, zyska i przemysł, który zaprzestanie tracić siły na rzeczy lichy, a zwróci się do tych któremi Francja przewyższa Anglię, a które, jako wynagrodzenie za szpilki, upaść znów muszą w Anglii. Tym sposobem przemysł przyjdzie w świecie do pewnej równowagi, nastąpi rozkład pracy na szeroką skalę. Samo przez się wypada, iż taki rozkład pracy na szeroką skalę, rozkład pomiędzy indywidualności narodowe, odbyć się nie może bez wolnego handlu, to jest bez otworzenia wszystkich szluz tamujących swobodne krążenie międzynarodowej konkurencji.

Wystawa, będąca, że tak powiem, wcieleniem, udotkalnieniem konkurencji, jest niejako protestacją przeciwko systemowi prohibicyjnemu. Jakież bowiem rezultat osiągnęły się dał z porównania płodów i wyrobów, jeżeli po takim porównaniu płody i wyroby gorsze wróciłyby miały podskrzydło opieki, oddalającej od targowisk lepsze i tańsze? Jakaby w takim razie była korzyść z wystawy? Żadna, albo przynajmniej bardzo mała. Wystawa stałaby się kosztowną zabawką, znajdującą usprawiedliwienie swoje w tym jedynie, iżby powiedziano że służy jako wzór, jako rodzaj muzeum modelów, zgromadzonych w tym jedynie celu, żeby się im przypatrzeć mogli fabrykanci, przedsiębiorcy, rzemieślnicy, mechanicy, a nawet i artyści, przypatrzeć się w celu bądź naśladowania, bądź przewyższenia, a zawsze współubiegania się na polu roboty. Zapewne i ten rodzaj współubiegania się osiągnąć się da z porównania, lecz pozostałby bez skutku wraz z ustaniem podniety, to jest z zamknięciem wystawy. Taki, dajmy na to, szewc widział arcydzieła swego fachu, i póki na nie patrzył, czuł się upokorzonym we własnym sumieniu i nawet obiecywał sobie w duchu, że postara się także swoje buty do wysokości arcydzieł doprowadzić. Lecz powrócił do domu, do własnego warsztatu; przy warstacie i za warstatem zastał wszystko w tym samym stanie, w jakim zostawił: ciż sami czeladnicy, ciż sami ludzie buty noszący, taż sama skóra, dratew i t. d. Czeladnikom perorę wypalił i zmartwił ich, ale w chwilę potem sam się zmartwił, gdy obrachował, że chcąc lepszy zrobić towar, trzeba mieć lepszy materyał, a za lepszy materyał, trzeba lepiej zapłacić, a lepiej zapłaciwszy, trzeba lepiej kazać płacić sobie, a z tego ostatniego wynik taki, że chyba sam dla siebie będzie szył buty, bo nie wytrzyma konkurencji z tymi, co robią gorzej, ale sprzedają tanięj. Z tymi bowiem tylko ma do konkurowania. Tych zaś co robią lepiej i sprzedają tanięj, nie lęka się. Ci zostali w Paryżu, Londynie, lub w jakimś tam innem zamorskiem mieście... W ten sposób rozumując, powraca powoli do starych sposobów i zwyczajów, a arcydzieła na wystawie widziane, służą mu tylko na to chyba, ażeby o nich szeroko przy kufu piwa rozprawiać.

Więc wolność handlu przedstawia się jako naturalne następstwo. Co więcej, zdaniem mojem, wystawa, w takich rozmiarach do jakich ona doszła, jest nie czem innem, jeno środkiem którego się chwyciła konkurencja, w celu przeprowadzenia wolności handlu.

Ze zdaniem tem może nie każdy zgodzi się czytelnik. Więc postaram się wytłumaczyć z niego w sposób najdotykalniejszy.

Anglia najpierwsza, naród *par excellence* przemysłowy, poruszyła kwestyą wolnego handlu i najpierwsza przystąpiła do zastosowywania teorii onego. Ona także najpierwsza urządziła powszechną wystawę, wyzywając przez to, że tak powiem, zagraniczny przemysł na rękę. Nie uczyniłaby tego, gdyby granice państwa nie były obsadzone komarami celnymi, odpychającymi jej wyroby i nie dozwalającymi kupującym ocenić wartości takowych. Urządziła przeto popis i zwołała nań cały świat. W jakimże to uczyniła celu? oto ażeby opinia publiczna świata całego oświadczyła się za angielskimi wyrobami i pośrednio za wolnym handlem, mogącym sprowadzić je na rynek każdego miasta. Fakt zapoczątkowania powszechno-swiatowych wystaw przez Anglię, przez naród w wysokim stopniu praktyczny, wydaje mi się wiele mówiącym. Zastępuje on rozumowanie, jakieby się dało pod tym względem przeprowadzić. Anglia zaprowadziła epokę wystaw. Wystawa sprowadziła w prostym następstwie traktat handlowy pomiędzy Anglią a Francją, który uważać można jako stanowczy krok na drodze wolnego handlu, a który w swoim czasie taki *clamor* ze strony francuskich fabrykantów wywołał. Rzecz jednakże rozpoczęta idzie dalej i coraz dalej, potęgując się stopniowo. Popęd jest dany: powstrzymać go niesposób, tém bardziej że z nim razem rozwija się uznanie potrzeby utrwalenia powszechno-swiatowego pokoju, jako warunku nieodzownego dla przemysłu i handlu.

Przegląd piśmienniczy.

II.

Słowo wstępne. — Dwie tragedye Józefa Supińskiego. Lwów 1861. Streszczenie i rozbiór Arceza. Streszczenie i ocenieme Tatarów. — Filip II, tragedia w pięciu aktach oryginalnie wierszem napisana przez Franciszka Jakubowskiego. Kraków 1858. — Ewa, tragedia w jednym akcie, napisał Jawurek Karol. Wydanie pośmiertne 1863. — Kilka słów ogólnych z powodu dramatu. — Jeremi Wiśniowiecki, sceny dramatyczne z XVII go wieku w dwóch częściach. Bruksella 1862. — Chłop, obrazek dramatyczny w trzech aktach. Poznań 1860. — Klara Zacz, dramat w pięciu odsłonach, przez Karola Kiszfaludęgo, spolszczył z węgierskiego Władysław Wędrychowski. Lwów 1865. — Dwa pożegnania, dramat w pięciu aktach, napisał Henryk Nowakowski. Lwów 1860. — Przejście do komedyi. — Niebezpieczny człowiek i Verbum Nobile, dwie komedye Walerego Łozińskiego. Lwów 1866. — Jan Kaźmirz na łowach, obrazek dramatyczny wierszem w trzech odsłonach. Kraków 1855. — Ciocia swatka, komedya w jednym akcie Kacpra Zubowskiego. Kraków 1861. — Tęgoż autora: Rzemieślnik, komedya w czterech aktach. Kraków 1861. — Wielkopoleń, komedya w czterech aktach Aleksandra Ładnowskiego. W Bochni 1863. — Zakończenie.

Z kolei przechodzimy do dramatów. Są tam, jak powiedzieliśmy, nawet tragedye. Zbiór to z lat kilku, zbiór wcale znaczny, kto wie czy liczebnie nie znaczniejszy od powieści. Niewątpliwie zaś nie wszystko to jeszcze; jest pewnie drugie tyle po świecie Bożym, ale obowiązek sprawozdawcy nie sięga dalej nad możność. Czegomości z tych lub o tych przyczynę napotkać nie zdołali, nie może nam być policzone za winę, tém bardziej, że już i z tego co jest pod ręką, sąd o ogólnym ruchu na tej drodze z wszelką swobodą wydać można. Sąd ten, ku szczerzej pociesze, tylko przychylnym być może. W istocie, rzeczy mało wartych stosunek tu także bardzo mały. A są i rzeczy niepospolicie piękne.

Ale po co mamy dłużej wytrzymywać czytelników. Zaczniemy od najpiękniejszej, tém bardziej że tak wypadnie z porządku starszeństwa, bo to tragedia. Tragedya! Wielkie słowo, trochę nawet magiczne. Są tacy, co słysząc je, kręcą głową z niedowierzaniem, innych dreszcz przechodzi i napada ziewanie, inni (ale takich coraz mniej już) uśmiechają się z politowaniem, jak dziad z wiekopomnego poematu „gdy wnucy ciężki jego miecz ciągną ze ściany.“ Gdzie to wam młokosy! toż to trzy jedności, wiersz aleksandryjski, toż to jedynie Rassyn, Kornel, i potem jeszcze Kudlicz, Ledóchowska, Werowski. Nie te to czasy! co wam po tém! A więc, niech będzie co chce, wszystkim tu zadasyć się stanie. Rzecz to bowiem nie dzisiejsza, grywana w teatrze warszawskim jeszcze przed kilkudziesięciu laty. Nie wiemy czy o niej pisano w swoim czasie, ale co nam do tego? Wyszła z druku nie dalej jak pięć lat temu, więc mamy wszelkie prawo wciągnąć ją w poczet rzeczy nawijających się nam pod pióro. Nosi ona tytuł *Arcez*.

Gdzie się to dzieje? w Hibernii stariej, czy w Kaledonii, ale mniejsza o to, dzieje się w kraju samych bohaterów, właśnie jak przystało na przyzwyczajenie, znającą swoje obowiązki tragedya. Treść jej taka. Bardan, stary mocz, przybity wieku ciężarem, chce zdać władzę, której już dźwigać dłużej nie czuje siły. Do władzy tej przywiązana będzie ręka jedynej jego córki. Dwóch jest współzawodników do tego podwójnie kuszącego szczęścia, Arcez i Heremon, serdeczni przyjaciele, niemal bracia ślubni. Heremon, syn Turgutana, osiwiatego w nieustannych bojach wodza, jest to młodzian twardej, rycerskiej duszy, żelaznego hartu, lwiej waleczności. Arcez, brataniec Turgutana, zaleca się znowu wybornemi serca przynioty, mądrością, wspaniałością, jedynacemi mu powszechną miłość popędami. Człowiek to jednym słowem stworzony na władzę, mającego rządzić w pokoju. Ale nie o pokój tu mowa. Rzymianie walą taranem niezłaganego podboju w stare, nieprzywykłe podlegać komukolwiek państwo; miecz w dłoni trzymać przyjdzie, nie zaś ciche berło. Król Arcezwowi sprzyja; ale stary wódz, jakbądź obu równym sercem kocha, wezwany do narady, otwarcie za swoim synem głos daje, bo tu potrzeba żelaznej dłoni, piersi z kamienia, a Heremon dał już dowody, że niema mu w tym razie w państwie równego. Pozostawszy sam z Arcezem, w imię dobra ojczyzny wymusza na nim słowo zrzeczenia się władzy, nawet w razie gdyby go do niej powołano. Arcez o władzę dba niewiele, ale całą duszą pokochał piękną Egemę i pewnym jest jej wzajemności. Wyrzekając się jednej, tém

samém drugą traci, bo wszak rzeczy to nierozdzielne. Ha! ale szczęście ludul... Mocuje się z sobą, przezwyćieża wreszcie i ulega.

Tymczasem weszli się na naradę starsi narodu. Arcez, jak błędny się snując, do drzwi kochanki kołaczę. Może po raz ostatni ujrzeć ją ma; on wie nawet że w każdym razie po raz ostatni, wszak Turgutan wziął jego słowo. Ale nie, nie, to już nad jego siły. Arcez nie wytrzyma dłużej; pokusa wstępuje w tę piękną duszę, różane usta Egemy tak wymownemi się stały! Toż Arcez władzę się zrzekł, ale nie kochanki; Egema nigdy nie zdoła być żoną Heremona. „Przysięgnij Arcezie, przysięgnij mi wieczną wierność, inaczej nie uwierzę żeś mię kochał kiedy. Co mnie królestwo bez ciebie?“ Młodzieniec odmówić nie umi, kłeka i wyrzeka słowa, które Bóg słyszy. „Dobrze! a teraz uchodźmy, daleko gdzieś, na kraj świata, gdzie niema przymusu ani ofiary. Idźmy.“ Ale któż to drogę im zachodzi? To Turgutan, rażony jak gromem ostatniemi słowy królowy. Egema oddała się, gdyż król zażądał widzieć Arceza. Ale nie król to bynajmniej, to tylko Turgutan zdrewniał ma duszę młodzieńca straszliwym odkryciem. Arcez synem jest Bardana króla, rodzonym bratem Egemy. Przed laty matka jego, w łonie go jeszcze nosząc, zasięgała wyroczeni świętego starca, mieszkającego na pustelni śród boru. Nic dobrego jej nie wyróżył. Dziecię na tronie kiedyś zasiadłszy, stać się miało nieszczęściem swego narodu, może nawet zgubą jego ostateczną. W tej smutnej doli, kiedy się urodziło, nie chcąc sobie rąk krwią niewinną kalać, pomieniano je z niezwykłym dziecięciem, które właśnie w tym czasie wydała na świat bratowa Turgutana. Straszliwa przysięga na wieki związała usta niewielkiej liczby osób, przypuszczonych do tej tajemnicy.

Ale straszliwszą jest nierównie przepaść wiecznej zatury, ponad którą stanął dziś młodzieniec, pociągając z sobą siostrę. Niema tak zakamieniałego grobu, któryby w takim razie nie rozgrzeszył z przysięgi. W tém miejscu rozpoczyna się walka najróżnorodniejszych uczuć. Egema, widząc zmianę w Arcezie, posadza go o oziębłość, on zaś zdradzić nie może tajemnicy, której wyjawienie ojczyby w grób wtrąciłoby, naród cały w przepaść klęsk pchnęło. Tymczasem Heremon, dowiedziawszy się o wzajemnym uczuciu dwojga kochanków, przychodzi szlachetnie zrzec się ręki Egemy, a z nią i władzy, do której go, dzięki zabiegom ojca, powołano. Nowa to katusza dla Arceza. W przesłiznanej scenie (1ej aktu IIIgo) Turgutan namawia go do opuszczenia kraju. Skołatany młodzieniec skłania się zrobić wszystko co mu radzą; ale w tém wchodzi Egema, rozwiąza go z danego sobie przyrzeczenia. Wydaje się spokojna, zrezygnowana, skłonna do zrobienia z siebie ofiary; wszystko tedy zdaje się już składać jak nie można lepiej. Gdzie tam! Stary król, dowiedziawszy się o wszystkim, przychodzi znowu pobłogosławić upragniony przez siebie związek jedynej córki z ukochanym jej młodzieńcem. Tu już Arcez odchodzi od siebie z boleści; chce się oddalić, ale zatrzymuje go w progu żelazna dłoń napół obłąkaną Egemy, która zrobiwszy więcej niż jej siły zniosły, wraca powtórnie rzucić mu w oczy wiarołomstwo, z odwołaniem się do pomsty bogów, które słyszały przyrzeczenie. A więc dobrze. Arcez poprowadzi ją do ołtarza, zrobi to, choćby zaraz; zmysły musiał stracić, — niebo odstąpić go musiało.

W akcie czwartym świadkami jesteśmy przygotowań do ślubu. Turgutan po raz wtóry złamie przysięgę, gdyż niepodobna dać się spełnić tak straszliwej zbrodni. Arcez próbuje raz jeszcze zgnać siłę ducha namiętną wolę Egemy. Wszystko napróżno. „Dobrze, powiada ona, zwolnie cię od wszystkiego; ale wprzód dokaż cudu bym kochała przestała.“ Na to król nadchodzi. Wię już straszliwą tajemnicę; ale w chwili kiedy się ze zgrozą powszechną rzecz wyjaśnia, Arcez chwije się, pada, wreszcie kona. Truciznę zażył. Szedł do ołtarza, bo przysięgę spełnić należało, ale iść a dojść, to dwie rzeczy różne. Był w posiadaniu grobowej tajemnicy; grobowi też ją miał do powierzenia. Egema mieczem jego wudręczone serce godzi, król go jej z rąk wytrąca. Gwałtowność tego szalonego uczucia, odkręślającego się tak silnie pośród tylu walk różnorodnych, jest wysoce tragiczna. Arcez odchodzi od siebie

z serdecznego bólu, Egema z miłości. Dwie te skute w jedną wspólną męczarnię osoby, na wzór silnego ogniska soczewki, skupiają w sobie wszystkie promienie estetycznego słońca, uwiecznionego w pryzmacie tragedyi. Sprawa tu zresztą istotnie wielka: szczęście całego narodu, ważące się na rozkołysanej toni egotycznego, pełnego tajemniczych głębi uczucia; z kolei gwałtowne, nadludzkie znów wysiłki ducha, podważane nieubłaganym fatalizmem. Jak powiedzieliśmy, bohaterowie tam sami. Gdzie się zwrócisz, szlachetny czyn napotkasz, cnotliwą podziwiasz walkę; więc też z zapasów tych każda osoba dramatu wychodzi czystą jak iza tragiczna; wina brzemieniem całym na losy tylko spada. Wiersz piękny, wzniosły, słowo wszędzie poważne, wspańnię, zrodzone do koturnu, splećnię węzła i rozcięcie go wielce kunsztowne, dyalogowanie świetne, układ sceniczny przepyszny.

Drugi dramat tegoż poety, *Tatarzy*, przy wszystkich zewnętrznych zaletach poprzedniego, jako dzieło tragiczne, o wiele jest od niego niższy. Nawiasem mówiąc, złożony był do konkursu ogłoszonego w roku 1852 przez kasyno we Lwowie, i nie dziwnego, że odniosła nad nim zwycięstwo komedya *Wąsy i Peruka*. Nie chcemy przez to powiedzić, żeby zwycięstwo było łatwe; ale że z Korzeniowskim walczyć o lepszą, osobliwie kiedy się uparł, rzecz była dziwnie trudna. Z tém wszystkim, jak powiedzieliśmy, tragedia pomieniona, nawet dla *Wąsów i Peruki* nie musiała być zbyt bezpiecznym współzawodnikiem. Jakbądź ma ta robota swoje usterki, zawsze jednak znać w niej lwie pazury. Może to sobie nie być tragedia, i nawet niewątpliwie nią nie jest; niemniej przecież dramat to, i to wcale nie pośledni.

Rzecz się dzieje za Tamerlana, u stóp murów Szyrwanu. Miasto broni się zawzięcie; zdumiony chan po raz pierwszy doznaje podobnego oporu. Właśnie schwymano na podjazdach dwie rzadkiej piękności branki. Z tych jedną (Xelinę) Tamerlan, w nagrodę świetnych czynów, wodzowi swemu przeznaczają; druga zaś (Izana) daną będzie temu, kto się pierwszy dostanie na mury Szyrwanu. Spełnia to z szalonem mężstwem niejaki Affaran, wojownik nieznany nikomu. Zkąd się wziął? czy z miłości dla Izany nadstawił na pociski lwiej piersi? Jest poprostu niewolnikiem jej ojca. Kiedy ją porwano, dał słowo swemu panu że mu powróci córkę, lub ją przynajmniej pomści rozgłosnie. Z miłości? o nie! w żelaznej jego piersi rozsiadło się niezatarte niczem wspomnienie minionego szczęścia; gdzieżby tu miejsce dla płochego uczucia? Lat temu niewiele, miał ten człowiek znaczenie między swemi, majątności rozległe, ale nad wszystkie skarby żonę, którą ubóstwiał. Wpadli Tatarzy, i wszystko jak sen pierzełło. On sam, ciężko ranny, w jassyrsz poszedł, żonę zabito, tak przynajmniej słyszał od współbraci. Cóż tedy? Affaran wróci oddać ojcu Izanę i znowu dalej niewolnikiem jego być? Co za głupstwo! Najprzód słowo, toż to wiatr marny; a powtóre, gdzieżby mógł być niewolnikiem chański ulubieniec? Ale Affaran i bez tego oddalić się jeszcze nie potrafi. Xelina jest jego żoną. Nie została zabita, tylko jak on w jassyrsz poszła. Wyswobodzi ją tedy, choćby za życia cenę; toż i tak spłacił już przyrzeczenie dane ojcu Izany.

W tém miejscu przypada właściwy węzeł dramatu. Posiadacz Xeliny, wódz tatarski (Kutłaj się nazywa, czego mu zazdrościć nie warto), podwójnie staje do walki. Nietylko o piękną brankę mu chodzi, ale i o łaskę chana, którą mu wydarł obcy przybłąda, lichy niewolnik, upierający się koniecznie wrócić w haniebne jarzmo. Do tego Izana gwałtowną miłością pokochała swego zbawcę i nie ścierpi współzawodniczki, która jej wydarła jego serce. Dwie te przeciwności, zaplatając się cierniowo wokoło zbolalęj skroni Affarana, robią odtąd co mogą, żeby mu się stać jednocześnie aureolą tragiczną. Na nieszczęście staje temu na przeszkodzie dalszy układ dramatu, polegający raczej na zamieszaniu scenicznem, nagromadzeniu i potrącaniu się wzajemnem rozlicznych niewiadomości i niespodzianek, niż (co jest właściwszą poecie) na cierpliwem rozwinięciu popisu serca ludzkiego, rzuconego w lwią jaskinię rozbujanych uamiętności. Mniej swobody, a zato prostoty więcej, byłoby ocaliło niejedną niepospolicie piękną szczegóły, zagadany zrzecznościami układu scenicznego, marnie tylko

roztrwajającymi zajęcia. W ogóle brak jedności wyczerpuje niemal najżywotniejsze siły tego utworu; zkadżeby tu tedy tragedia? Bo żywoły tragiczne, to jak ów podaniowy pek strzał scytyjskiego wodza: związane silnie, złamać się nie dadzą; ale pojedynczo każda z nich krucha. Na to żeby wzruszyć, podbić, przekonać, potrzeba koniecznie przemawiać w skupieniu słowa; inaczej posądzonym być można o brak przekonania. Ma każde dzieło silnym czynem brzmiące, swój, że tak powiemy, ciężkości środek, swój nacisk, swój magnetyczny kierunek ku jednej jakiejś, osobliwie upodobanej prawdy stronie; i to tłumaczy, dlaczego się dzieło podobne z łatwością udziela każdemu kto łaknie pokarmu ducha; to tłumaczy, dlaczego zostaje z ludźmi, choć sprawca jego dawno już odszedł. Niepodobna zaprzeczyć, że utwór o którym mówimy, przemawia także silnie i nader działawczo; cóż kiedy najdzielniejsze jego słowa zdają się rozpierzchać niby w roztargnieniu ducha; cóż kiedy środek ciężkości jego budowy przeprowadza się kapryśnie to tu to owdzie, błakając się po epizodach, skutkiem czego pracownicy szukać go trzeba. Wszystko to da się jeszcze zrobić przy cierpliwym czytelnictwie zastanowieniu, ale zato na scenie wcaleby zwątpić przyszło o pomyślnym skutku. Ostatecznie spróbujmy przymocować go do przeciwstawienia niezłomnej wiary chrześcijańskiego rycerstwa, z dziką energią wyznawców księżycy. Z tej strony rzecz oglądając, Affaran wyrosnie nawet na tragicznego olbrzyma. Istotnie, wszystko tu sprzyściło się przeciw niemu, sam wszystkim starczyć musi. Więc też walczy i zwycięża. Ale walka nie czem innym tu być może, jak urokiem siły moralnej ujarzmiacza zwierząt, który „nieśmiertelnej talizmanem duszy, moc bezrozumną na uwięzi trzyma.” W tym względzie także zakończenie dramatu jest istotnie uwieńczeniem dzieła. Ujarzmiony lew pustyni (nie zapominajmy zwłaszcza że to jest Tamerlan) puszcza w pokój swoją ofiarę, nie mogąc pojąć jej wyższości, i tylko mimowolnie składając przed nią czoło. Trwać to może chwilę tylko — rzecz się dzieje jakby w klatce dzikiego zwierza, z której wychodzi co prędzej, bo w oka mgnieniu nastąpić może opamiętanie tym krwawsze, im urok był potężniejszy. Tém, że tak powiemy, zręcznym podejściem swego słuchacza, poeta wygrywa na nim jedno z najsilniejszych wzruszeń, na które w samą porę zapada zasłona.

Jak powiedzieliśmy, dramatowi temu zaledwie Wąsy i Puka dały radę. Rzecz to przy wszystkich wadach swoich zawsze jeszcze niepospolicie piękna. Charaktery głównych bohaterów ciosane są pomnikowo. Tamerlan, Affaran, ze wszech miar godni siebie. Czoła ich opromieniają dwie niemal równo potężne idee. W danej chwili wyzywają się na rękę, wbiegają w szranki, pierś w pierś uderza, Bóg tylko jeden rozsądza o zwycięstwie. Zato kobiety o wiele mniej tu udatne, czyli raczej poprostu kobiety to tylko, ale już nie bohaterki jak Egema. Zresztą, co do zalet języka poetycznego, obrazowania, wersyfikacji, względnie nawet co do układu scenicznego, dramat ten w niczym nie ustępuje poprzedniemu. Na okładce skromnie broszurki, mieszczącej dwie te tragedye, napisano, że wyszły na świat nakładem kilku właścicieli ziemskich. Szkoda że nie wyszczególniono nazwisk tych dziwnie rzadkich dobroczyńców ludzkości, gdyż wartoby je wyrzeźbić złotymi głoskami w świątyni delfickiej. Podwójna tu zasługa. Doprawdy, zarówno uczyć należy bystre ocenienie rzeczy prawdziwie pięknej, jak i poczciwą chęć podzielenia się nią z drugimi. Miły ten obowiązek spełniamy sercem całym, w przeżyciu moralnym, iż to czynimy ku zachęceniu drugich, jakbądź zarazem ku zawstydzeniu twardych serc księgarskich, do których niełatwo trafiają rzeczy mniej nawet pompatyczne od tragedyi.

Bądźmy jednak sprawiedliwymi; przeciw i tragedya tragedyi nie równa. Dajmy na to na przykład *Filip IIgi*. Zapowiada się to bardzo wspaniale, no, ale co się też dotrzymuje? Dostyć niedużo. Tragedya to być może w dobrej chęci autora; ale chęć dobra, choćby najszczerza, a wykonanie, to dwie rzeczy niezawsze równej siły. Koniec końcem, są to raz jeszcze poetyczne dzieje Don Karlosa, jakbądź wiemy dziś o nim dowodnie, że był tylko lichym idiotą, który nie mógł żadną miarą ani być kochanym przez piękną królową, ani mieć takiego przyjaciela jak Poza. Ale mniejsza o to wszystko. Historia

przebaczy te zmyślenia Szyllerowi, bo już ciż tacy mistrze jak on mają prawo wytwarzać złote legendy, które znowu powabem swojej cudowności dają przebaczyć historii, że bywa niekiedy nieubłaganie prawdziwą. Ale pytamy: czy to jest bajka dostatecznie odleżała, żeby ją wgnieść było można w kańciaste ramy tragedyi klasycznej? Nam się to jakoś nie zdaje. Próbował tego Ducis z Szekspirem, i niepodobna mu zawdzięczyć pomyślnego skutku. Prawda i to że to był Ducis, a tamto Szekspir; ale znów zaprzeczyć nie można, że i tu robota z Szyllerem. Szyllera tedy tego wzięto krótko na paski, bo się też był rozbrykał nie lada! Gdzie! tyle osób, tyle zmian dekoracji, tyle lirycznej łamaniny! Tu zupełnie co innego. Tragedya odgrywa zaledwie pięć osób: król, królowa, don Karlos, Lerma i Alonzo (Szyllerowski Poza). Rozmawiają ci państwo bardzo przyzwoicie, trzynasto-zgłoskowym, pełnym zalet poprawności wierszem; nazywają Flandryą Batawami, burzę akwilonem, okręt nawą; wchodzą nie bez przyczyny, odchodzą nie bez powodu, zostają na scenie nie bez potrzeby. Dzieje się zaś to wszystko w jednym, jedynym miejscu, stosownie do wymagań klasycznej etykiety, wprawdzie niezawsze zgodnej z surowymi przepisami etykiety hiszpańskiej, ale też ani Kalderon, ani Lope de Vega nie wynaleźli tych rzeczy. Słowem, wszystko tam gładkie, umiarkowane, wypoczęte, sumiennie zgodne z przepisami Laharpa; ale to chyba nie miała być tragedia. Toż gdyby chociaż charaktery osób; ale nie, wszystkie one jednakowe, wszystkie na jednej płaszczyźnie, właśnie jakby perspektywa była tylko czczą igraszką. Rzecz podobnie urządzona pod strychulec ma sobie w najlepszym razie zalety cierpliwego, poprawnego, nawet, jak się zdaje, bardzo pracowitego ćwiczenia, i te jej z duszy z serca przyznajemy; ale nigdy nie miała prawa przyczepiać się do Szyllera, a cóż dopiero pomyśleć że jest tragedya.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TYFLISU POD ARARAT.

Przez

Kazmirza Łapczyńskiego.

(Dalszy ciąg.)

Losy Małej Armenii, chociaż odmienne, również smutnie się kończą. Ten kraik po Tygranesie Wielkim został prowincją rzymską, potem bizantyjską i dopiero przy końcu XI wieku Rupen, krewny królów panujących w Armenii Wielkiej, rodem Bagratida, zrzucił jarzmo cesarzów wschodnich, a jego następcy, panując nad Cylicyą i Kapadocyą, brali ważny udział w wojnach krzyżowych.

Córka jednego z nich, Leona, była zaślubioną Andrzejowi królewiczowi węgierskiemu, co, lubo pośrednio, jednak jest w związku z historią polską, a to takim sposobem. Haliczanie w roku 1214 wygnali Mściława i wysłali poselstwo do Andrzeja króla węgierskiego z prozbą, aby drugiego swego syna Kolomana wprowadził na księstwo halickie. Andrzej zgodził się, ale nie chcąc narażać się Polsce, zawarł układ z Leszkiem Białym, mocą którego Koloman miał poślubić córkę Leszka Salomeę, gdy ta dorośnie, i młode małżeństwo miało razem nad Haliczem panować. W razie gdyby zmarło bezpotomnie, Ruś Czerwona do Polski powracała. Papież Innocenty III ugodę polsko-węgierską zatwierdził i arcybiskupa strygońskiego wyznaczył do ukoronowania Kolomana z Salomeą. Halicz otworzył bramy i nastąpiła koronacja. Rozpoczęły się polsko-węgierskie rządy, które nie długo trwały, bo Mściław, zebrawszy znaczne siły, w r. 1215 rzucił się na Halicz, zamek zdobył, Kolomana z Salomeą uwieził i aż nad Wołgą, w okolicach Tweru osadził. Andrzej groził przez posłów, Mściław śmiał się z pogroźek i dopiero po bardzo niepomyślny do Polski wyprawie, w r. 1217 zawarł z Andrzejem pokój na następnych warunkach: trzeci syn króla Andrzeja, Andrzej także, zaręczył się z małoletnią córką Mściława i w przyszłości w posagu weźmie księstwo halickie; nim jednak Mściławówna dorośnie, rządzić księstwem będzie Koloman z Salomeą, powróceni z wygnania. Ledwie ostatni warunek został dopełniony, zaraz król Andrzej, spokojny już o syna, wyruszył na krucyatę do Palestyny,

marząc oddawna o bizantyjskiej cesarskiej koronie. Minęła go korona, ale na Wschodzie syna Andrzeja, przeznaczonego Mściławównie, zaręczył ze wspomnianą już córką króla Leona, mając nadzieję, że syn dostanie królestwo w posagu. Gdy król powrócił do Europy, w wielkich był opalach, zrobił bowiem trzy sprzeczne zobowiązania: polskie, ruskie i armeńskie, które się w żaden sposób pogodzić z sobą nie dały. Mściław już nie żył, ale Haliczanie, obrażeni do żywego za lekceważenie jego córki, zniechęceni do reszty Węgrów, wypędzili Kolomana i oddali się Danielowi. Wpływ Węgrów na Rusi Czerwonej upadł od tej pory stanowczo. Armeńska królowa mimo woli, kto wie czy się jednak stanowczo do tego nie przyczyniła.

Krucyaty, była to najświetniejsza epoka małej Armenii. Rupenidzi panowali w niej do roku 1374; w tym czasie sultan egipski Szaban ziemię ich zawojował. Ostatnim królem Małej Armenii, czyli królem Cylicy, był Leon VI. Są to ostatnie chwile niezależności. Kraj ten na początku XV wieku dostał się Turkomanom, na początku XVI Persom, nareszcie Osmanom, i w ich rękę do dziś dnia pozostaje.

Dość o armeńskiej historii, powróćmy do podróży opowiadań.

Dojeżdżamy do Erywania, nie spotkawszy na drodze z Tyflisu, na przestrzeni 37 mil, ani jednego miasteczka, co nam dobitnie wskazuje, jak kraj mało jest zaludniony.

Szczególny jest wjazd od północy do Erywania; możnaby go nie wjazdem, ale wkradnięciem się nazwać, bo pierwszy raz widzisz miasto dopiero, wjechawszy na jego ulice. Gdyby idąc za przykładem Włochów, co dla każdego z miast swoich dobrali odpowiedni przymiotnik, kazał mi kto stosowny dla Erywania dobiierać, od pierwszego spojrzenia nazwałbym go *glinianym*. Znamy już samant, to jest poszarpaną i startą słomę, pozostałą po tutejszym młóceniu, co się za pomocą deski nabijanej krzemieniami odbywa. Otóż glina zmieszana z samantem i wyrobiona na cegłę surówkę, jest materiałem z którego wszystkie tu domy, ogrodzenia, nawet forteczne ściany są zlepiene. Po każdym deszczu żółte strugi ze ścian płyną i sieczka jak szydło z worka wygląda. Cesarz Mikołaj, po raz pierwszy w roku 1837 oglądając glinianą erywańską forteczkę, starym garnkiem bardzo charakterystycznie ją nazwał. Zdaje się że tak samo musiano budować w Egipcie za Faraonowskich czasów i owe plewy, kilkakrotnie wspomniane w 5 rozdziale II ksiąg Mojżeszowych, są zapewne samantem. Naprowadza na tę myśl rozkaz Faraona do dozorców izraelskiego ludu: „Żadną miarą na potem nie będziecie dawać plew ludowi do czynienia cegły, jako przedtém, ale sami niech idą, a niech zbierają słomę.”

Początkiem zawiózł mnie do jednego europejskiego hotelu, w którego glinianych apartamentach są dwa dla podróżnych numera. Na moje szczęście jeden był pusty. Wszedłszy do mego jednodniowego rublowego mieszkania, nie spojrzałem nawet na umeblowanie, to jest na stolik i stółek, bo łóżka nie było, ale najciekawiej sufit opatrywać zacząłem, a spostrzegłszy we wszystkich czterech rogach czarne plamy, rozgospodarowanie się moje zacząłem od następnej czynności: przesuwałem stolik od jednego rogu pokoju do drugiego i stanąwszy na nim, chustką czarne plamy ćwiczyłem. Służący hotelowy, wnosząc moje manatki i zastawszy mnie na stole wymachującego rękami, nie wziął mnie za waryata, nawet się wcale nie zadziwił, bo pewno nieraz na własnej skórze doświadczył przyjemności owych plam czarnych; były to bowiem roje niesłychanie drobnych, jadowitych muszek, które są prawdziwą plagą wielu kaukaskich miejscowości. Tak są małe, że się wszędzie wcisną, a tak dotkliwe, że nieraz ukąsany przez nie człowiek wygląda jakby się cały synapizmem obłożył. Erywań znany jest za Kaukazem z wybornych owoców, z bawełnianych wyrobów, z gorączek, czarnych skorpionów, tarantul, olbrzymich komarów i z tych muszek jadowitych. Nie wiem jak się naukowo te zjadliwe liliputy nazywają i w jak blizkiem są z afrykańskimi muskitami powinowactwie, ale to wiem wybornie, bo z własnego doświadczenia, że gryzą fatalnie.

Ogarnąwszy się, poszedłem do twierdzy, zaprezen-

tować się władzy. Późno wróciłem do hotelu i w tym dniu zapoznanie się moje z Erywaniem niewiele naprzód postąpiło. Nazajutrz dopiero lepiej się rozpatrzyłem wkoło siebie, oględziny miasta znowu od twierdzy zaczawszy; są tam bowiem dwie budowle godne zwiedzenia: stary meczet, w którym się obecnie prochownia mieści, i dom sardara. Taki tytuł nosili za perskich czasów władcy erywańskiej prowincji, raczej lennicy niż wielkorządcy perskiego szacha. Ostatnim sardarem był chan Hussein, wyborny gospodarz i administrator, co mówiąc nawiasem nie często się perskim zarządcą przytrafia. Dotknawszy się jakiegokolwiek gałęzi krajowego dobrobytu w erywańskiej prowincji, spotkasz się pewno z imieniem chana Husseina. Nietylko ponaprawiał stare i pozaprowadzał mnóstwo nowych, bardzo kosztownych kanałów, ale, co równie jest ważne, bardzo rozsądnie i liberalnie irygacyjną administracją i sądownictwem urządził. Kto nie mieszkał w okolicach, gdzie wszystkie pola muszą być nawodniane, nie wyobrazi sobie ile to zajęć, kłótni, intryg, podstępów i nienawiści niewinna woda wywołuje i jakie ztąd wywiązują się labirynty prawnych kwestyj. Gdyby który z naszych rolników rozpatrzył się w tym pasztecie, pewnoby do pacierza codziennie dodawał: Dziękuję Ci, Panie Boże, że posiadając z dopuszczenia Twego wspólne pastwisko i wspólny wrąb, nie mam wspólnego irygacyjnego kanału. Amen. Przy sardarze każdy kanał główny miał swego zarządcę, noszącego tytuł mirab'a, który był wybierany przez mieszkańców gmin, zaopatrywanych przez tenże kanał wodą. Sam mirab wodę każdej gminie wydzieliał i po spuszczeniu oznaczonej ilości, do stawidła własnoręcznie pieczęć przykładał.

Ktoby ją naruszył przed przyjsciem nowej kolei, uległby bardzo surowej karze.

Dżuwar, także przez mieszkańców wybieralny, ale pod władzą miraba zostający, wodę znowu w każdej gminie między mieszkańców rozdzieliał, używając innej, udzielonej mu przez miraba pieczęci. Trzeci rodzaj urzędników, kara-dżuwar, byli to pomocnicy mirabów. Wszyscy mieli co do roboty i codziennie niemało skarg musieli wysłuchiwać i sporów załatwiać. Woda, rzecz taka ruchliwa, tak się łatwo byle dziurką przecisnie, zresztą wspólna, a taka na polu pożądana. Niedziw więc, że każdy ją najchytrzejszymi sposobami do siebie zapraszał i bardzo trudno było dowiedzieć, że jej pomagał do przewrzenia kilkocalowej grobelki, albo do zrobienia samorodnego pod grobelką tuneliku. Nasze przysłowie o domowym złodzieju, powinoby się tak po armeńsku przetłumaczyć: Od wykradacza wody trudniej się ustrzedz, niż od domowego złodzieja. Król Salomon znał się na tych rzeczach, mówi bowiem w rozdziale 17 więrszu 14 przypowieści: *Kto spuszcza wodę, początkiem jest swarów.* Ale woda szybko płynie; gdzie to już nas od sardarskiego domu odniosła! Wróćmy się, bo jakże być można w Erywanii i Szusza-bajd-ajwan'u, to jest resztek zwierciadlanej sali nie zobaczyć. A wiecie państwo co w niej najpiękniejsze? Widok przez okno na Ararat. Siedem mil ztąd do śnieżnego olbrzyma, choć oczy anirusz nie chcą uwierzyć; im się zdaje że gdybyś się dobrze rozmachnął, tobyś kamieniem do śniegu dorzucił.

Wprzód nim zwiędziłem miasto, poszedłem z twierdzy do sławnych erywańskich ogrodów. Trzeba było przebyć Zangę po trzyarkadowym kamiennym moście, zbudowanym w r. 1680, przy sardarze Amir-Giu - na - Chana - Sary - Aslan'ie. Zanga rozdziela Erywan na dwie różnorodne części: na lewym brzegu jest przeszło 2000 miejskich domów o płaskich dachach i forteca, na prawym 1500 winnic, z których, jak boby z grochu, wychylają się owocowe drzewa. W domach lewego brzegu mieszka około 7000 Ormian, około 7000 Persów i trochę Greków; w gronach winnic prawego brzegu mieści się około 200,000 butelek mocnego wina; prócz tego erywańscy mieszkańcy sprzedają corocznie za 5000 rubli winogron, jest ich zaś około dwudziestu oddzielnych gatunków i każdy ma swoją nazwę, np. ezandari, sagabi, maschali, chalili, kuzami i t. p. Gdyby przy zbiorze sortowano winogrona i z każdego gatunku oddzielnie wytłaczano wino, byłoby bez porównania lepsze od terazniejszego, co się wytłacza hurtem, z gron najróżnorodniejszych.

Drzewa owocowe cudownie tu rosną i wydają wyborne owoce. Sławne są erywańskie gruszki *gulabi*, do ber podobne, ale jeszcze soczystsze i delikatniejsze. Morele *agdžanabat* podobnie też cieszą się wyborną reputacją; również i *dułmy*, najposzukiwawszy gatunek melonów.

Erywańskie ogrody, że się zielenią, krzewią i żyją, obowiązane są rzece Zandze, równie jak całe obszary uprawnych pól, ciągnące się za miastem ku południowi. Woda dość znacznej rzeki rozlewa się po wiciach winogronowych, po kłosach pszenicznych, po liściach *ianzi*, to jest lucerny, po ryżowych łodygach; zato do Araksu, do którego wpada o 3 mile od Erywania, Zanga przynosi w czasie lata bardzo słabą zasilek.

Ozdobą erywańskich sadów jest ogród sardarski, a ozdobą sardarskiego ogrodu kiosk zbudowany przez chana Husseina, w którym ten sardar nieraz z całym haremem przemieszkował. Ów kiosk kilkopiętrowy, persko - chińsko - indyjsko - romantyczny, jest kwintesencją szyckiego arcyzmu. Najwięcej zajęły mnie malowidła, między bizantyńskimi i chińskimi pośredniczące, mające pretensją i do obszernych pejzaży, i do tłumnych batalij. Każde piętro kiosku składa się z wielkiej sali, z oknami na cztery strony świata, i z czterech symetrycznie po rogach rozmieszczonych gabinecików. Kiosk zewnątrz jeży się galeryami i balkonami. Stoi on w samym środku ogrodu, a każde z czterech okien każdej sali patrzy na długą, topolową aleję. Topole są piramidalne, niesłychanej wysokości, i chociaż mi warszawską Jerozolimską drogę przypominały, nieżyczliwie jednak na nie patrzyłem, jest bowiem tu przekonanie, że na nich znoszą jajka, legną się i przeobrażają utrapione czarne muszki. Prawdopodobnie jest to potwarz na topole rzucona.

Wróciwszy na lewy brzeg rzeki, zacząłem wólczyć po wązkich i brudnych erywańskich uliczkach, zajrzałem na chwilę do kilku armeńskich kościołów, a nieco dłużej zatrzymał mnie szycki główny meczet, czyli *medresse*, gdzie duchowna szkoła bardzo oryginalnie się mieści. W ścianach okalających podwórce są głębokie framugi; każda z nich służy za celę przyszłemu opowiadaczowi koranu. Niszy jest kilkadziesiąt, a w każdej nieszczęśliwy duchowny uczeń siedzi jak automat nad książką. Czytałem gdzieś opis chińskich więzień; erywańska duchowna szycka szkoła zupełnie do nich podobna, tylko ciężkich krat żelaznych we framugach brakuje. Na środku podwórca, pod cieniem rozłożystych drzew, spaceruje pan profesor, jak widać z jego fizjonomii, strasznie uczony. Biedni młodzi więźniowie są pod nieustającym nadzorem jego przymurzonych oczów. Daleko weselsze miny od tych męczenników mądrości mają erywańskie uliczne łobuzy, nazywane *luti*. Za perskich czasów więcej ich było i składali pewien rodzaj próżniaczego stowarzyszenia; dziś nibyto umoralizowali się i wzięli do pracy, ale ponieważ od ciężkiej odwykli, wybrali sobie niezbyt mozolny proceder osławiania i układania do boju kuropatw. Jak bowiem gdzieindziej bitwa kogutów, albo w Chinach bój przepiórek, tak w Armenii walka knropatw jest ulubionym widowiskiem. Szermierzami jednak nie bywają kuropatwy zwyczajne, ale wielkie, górskie, o czerwonych nogach i dziobach, *Perdrix saxatilis*, czyli w języku miejscowym *kiaklik*. Wszędzie za Kaukazem w skalistych miejscowościach są one dosyć pospolite, choć chciwie przez myśliwców tępione. Bardzoby je jednak trudno było myśliwemu wyszukać wśród urwisk i rozpadlin, gdyby nie to, że są krzykliwe i zdradzają się donośnym ustawicznym gdakaniem. Bez wyjął nawet można z wielką przyjemnością na nie polować. Gdzie gdacze, tam iść trzeba i do zrywającej się strzelać, jeżeli by zaś spostrzegłszy wroga zamilkła i na piechotę już wyciekła, to jeszcze nie trzeba dać jej za wygraną, ale czekać cierpliwie, licząc na to, że długo w dziobie nie utrzyma swego niepoohamowanego języka. Cała trudność zdobyczy na tém się głównie zasadza, że górskie kuropatwy w bardzo nieprzystępnych miejscach najczęściej przesiadują. Polowanie na nie, to szkoła chodzenia po skałach. Ktoby ich z dziesiątek upolował, może już śmiało na dzikie kozy wyruszyć.

Oprócz układaczy kuropatw, uderzyła mnie na

erywańskich ulicach większa jak gdziekolwiek indziej liczba *hadżich*, to jest pielgrzymów co zwiędzili Mekkę, a którzy odróżniają się od zwyczajnych śmiertelników czapką białym szalem owiniętą. Jak wszędzie na Wschodzie, tak i tutaj hadżowie mają renomę wielkich kłótników, zazdrośników, plotkarzy i piniaczy. Dlatego to miejscowe przysłowie mówi: *jeżeli sąsiadujesz z jednym hadżim, strzeż się; jeżeli z dwoma, sprzedaj dom.* Ci co pielgrzymkę do Maszadu i Kerbelaju w Persyi odbyli, tytułują się meszchedami i kerbelajami. Zresztą do tych dwóch świętych miejscowości nietylko żywi, ale i umarli z Erywania podróżują; dostawszy się jednak z pomocą krewnych na miejsce, nie wracają już więcej do stron rodzinnych, lecz na tamtejszych cmentarzach pozostają. Pielgrzymowanie jest na porządku dziennym w glinianém mieście. W czasach gdy je oglądałem, oprócz pięciuset mahomekańskich pątników, żyło w niem około stu Ormian i Ormianek, co Jerozolimę odwiedzili i używali chrześcijańsko-pielgrzymkiego tytułu *mugdusi*.

Targowiska, sklepy i stragany erywańskie bardzo do tyflskich podobne, tylko wszystko na mniejszą skalę. Kupców jest tu aż cztery gatunki: *sawdokiary*, prowadzący handel hurtowy, *binachtary* czyli właściciele sklepów, *bazzas* kramarze i nakoniec *czarezi*, to jest przekupnie. Mimo czterech kupieckich kast, obroty handlowe bardzo są mało znaczące, brak bowiem i przedmiotów handlu, i kapitałów. Kupcy z kapitałem 6000 rubli za bogaczów uchodzą i liczba ich jest bardzo ograniczona. Ogólnie biada między mieszkańcami. W lecie, choć muszki gryzą i słońce dopieka, biedacy tutejsi żyją jednak jako tako. Byle pęczek zieleniny i chleba kawałek, to i dosyć. W zimie jednak gorsze czasy nastają. Erywan wprawdzie leży na równoleżniku bliższym równika niż Neapol, ale że jest około 3000 stóp nad poziom morza wzniesiony i ponieważ ład azjatycki jest zimniejszy od europejskich nadbrzeży, więc zima bywa tu wcale nie neapolitańska. Mrozy silniejsze bywają od tyflskich i przez kilka zimowych miesięcy przeplatają się z deszczami i wiatrami przejmującymi aż do kości; a że mieszkania źle są opatrzone, a drzewo sprzedaje się na funty, mniej więcej funt po groszu, więc większa część mieszkańców pod *kursiami* sen zimowy odbywa. *Kursi*, jest to niski stolczyk, pod którym w glinianej fajerce żarzą się węgle (za funt 2 grosze); żeby się zaś pożądaną ciepło nie marnowało, stolczyk nakrywa się wszystkimi kołdrami jakie tylko są w domu. Pod te kołdry, byle co sobie posławszy, wsuwa się cała ludność domostwa, tylko kiedy niekiedy głowy na świat wychylają. To gromadne, leżące i gnuśne życie w nieustannej łaźni, zdolne jest przez jedną zimę podkopać najsilniejszy organizm. Biada, kur-si, straszne upały, wyziewy z błot, które przy powszechnej irygacji są nieuniknione, żółte febry i gorączki, oto powody, że ludność Erywania od r. 1827 wcale się nie powiększyła.

Żeby już ostatecznie całą torebkę moich wiadomości o Erywanii wysypać, nim z miasta pójdę do fortecy na obiad wypisuję na zakończenie kilka cyfr z owiej epoki, które zapewne dzisiaj mało się zmieniły. Te cyfry, równie jak i niektóre szczegóły o glinianém mieście poprzednio podane, sumiennie zebrał na miejscu Konstanty Orłowski, w owe czasy prezydujący w erywańskim gubernialnym sądzie.

Kościół ormiański jest w Erywanii 7, meczetów 7, placów 3, karawan-serai 6, kramów 1051, łaźni 5. Dochód miejski 11,465 rubli. Uczniów w szkole o trzech klasach 109. Biblioteka posiada 200 książek. W szkole żeńskiej 21 uczniów: 5 Rosyanek, 13 Ormianek i 3 Tatarki. Dzień roboczy płaci się od 20 do 25 kopiejek. Wielbłąd kosztuje od 30 do 100 rubli, wół od 10 do 15, koń od 10 do 40, osiel od 6 do 10. Pielgrzymi przez dziesięć lat wyprowadzili z Erywania około 286,000 rubli. Umiera rocznie 1 na 16 mieszkańców. Rodzina średnio składa się z 5 osób. Stosunek kalék do zdrowych jak 1: 112. Ślepych najwięcej, bo na 263 mieszkańców jeden. W ciągu roku zaszczepiono ospe (licząc przyjetą) 371 dzieciom. Aptek prywatnych niema, wojskowa 1. Żadnych zakładów dobroczynnych niema.

(Dokończenie nastąpi.)